Cena 1 zł

AWANGARDA
PAŃSTWA NARODOWEGO

Nr 4—5 Poznań, Kwiecień—Maj 1939 r. Rok XVII

SPIS TREŚCI:

WYDAWNICTWO „AWANGARDY PAŃSTWA NARODOWEGO"
SKŁAD GŁÓWNY W WARSZAWIE, W KSIĘGARNI TETZLAWA, NOWY ŚWIAT 32
ODBITO W DRUKARNI UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO POD ZARZĄDEM J. WINIEWICZA

Z karabinem u nogi

Doniosłe wydarzenia, jakie Polska wraz całym światem przeżywa, wysuwają szereg zagadnień, które — piszemy to bez chełpliwości — od dawna były postawione i rozstrzygnięte w ideologii, której wyrazem jest „Awangarda Państwa Narodowego".

Od kilku już lat głosiliśmy na tych łamach twierdzenie, że wszystkie państwa weszły w okres wielkiej dziejowej próby. Te tylko narody wyjdą z próby tej zwycięsko, które się zorganizują zawczasu, zjednoczą i będą silne. Wyłącznie bowiem na własnych siłach, moralnych i materialnych, polegać można. Tylko silni mają przyjaciół i budzą respekt. Tylko państwo, posiadające pełną swobodę decyzji i na tej własnej decyzji opierające swoją politykę, jest państwem w całym tego słowa znaczeniu, państwem, godnym największych mocarstw.

By jednak taką pozycję uzyskać, trzeba było sposobić się czas dłuższy, wyrabiając w sobie i postawę należną i moralne uzbrojenie. Licząc się z takim właśnie rozwojem wypadków nawoływaliśmy tu stale do wytworzenia silnej struktury państwowej, silnego ustroju. Tym, którym się wydawało, że między potężnymi Niemcami i wielką Rosją można utrzymać rodzimy bałaganik, oraz ustrój oparty na rozbiciu narodowym i na słabości wewnętrznej, przeciwstawialiśmy ideę silnej władzy państwowej i silnego ustroju państwowego jako naturalnego wyrazu organizacji narodu.

Tym, którzy stawiali nam za wzór Czecho-Słowację, uchodzącą w pewnych drobnomieszczańskich kołach za państwo doskonałe, przeciwstawialiśmy konieczność posiadania własnej koncepcji politycznej wewnętrznej i zewnętrz-

nej. Czecho-Słowacja padła, bo więcej wierzyła obcym niż sobie, bo wplątawszy się w system zbiorowego bezpieczeństwa i uzależniwszy się od obcych, została wewnętrznie i moralnie obezwładniona. Co więcej, ściągnęła na siebie wszystkie gromy i mówiąc ordynarnie została „kiwnięta". Taki jest zawsze los słabych, łatwowiernych, oglądających się na obcych, a nie na siebie.

Polska poszła inną drogą niż Czechy. Podstawą jej polityki nie stały się sojusze, ale własna siła zbrojna. Ponad hasło wzbogacania się obywateli postawiła zasadę wzmagania sił państwa. Ponad doktrynę liberalno-parlamentarną postawiła zasadę silnej władzy. I jeżeli dziś z dotychczasowego kryzysu międzynarodowego wyszliśmy z rozszerzonymi granicami i ze wzmocnionym autorytetem, jako równorzędny partner wielkich mocarstw, to mamy do zawdzięczenia zwycięstwu w opinii naszej zasady siły nad postawą słabości i nad próbami wywyższania jednostki, czy społeczeństwa ponad państwo.

Ileż jednak trzeba było przezwyciężyć prób oporu, by ten styl siły wyrobić w społeczeństwie. Ileż ci, którzy głosili te powszechnie dziś uznawane zasady, wytrzymać musieli napaści, pretensyj, wyklęć, że są „totalistami", „militarystami", zwolennikami „monopartii" itd. Dziś wypadki przyznają im słuszność. Można się tylko zastanowić, czyśmy nie powinni byli iść jeszcze dalej w kierunku wzmagania siły państwowej, jak i organizacji zwartości narodowej.

*

Wszystko wskazuje, że wojna światowa będzie narazie uniknięta. Będzie uniknięta nie dlatego, że jesteśmy świadkami inflacji gwarancji, jakie sypią się na poszczególne państwa, ale dlatego, że nad Wisłą znalazł się naród, który nie uległszy psychozie strachu, jaka i wielkich nie ominęła, ponad życie swych obywateli postawił wolność i niezależność ojczyzny. Okazało się, że Polska jest państwem, gotowym samodzielnie i niezależnie od reakcji zagranicy bronić swego bytu i swoich żywotnych interesów.

Dla nas fakt ten nie jest żadną rewelacją. Stał się nią natomiast dla państw innych. Dopiero pełna godności i stanowczości postawa Polski, okazana w chwili, gdy sukcesy polityki niemieckiej przeistaczać zaczęły się w lawinę, siejącą panikę na całym świecie, wywołała znaną reakcję państw anglosaskich. Wielka Brytania, która przez tyle lat ignorowała znaczenie Polski — zrozumiała obecnie naszą doniosłą rolę w Europie.

Dla polityki niemieckiej — której błędem stałym jest brak zrozumienia psychologii innych narodów — stanowisko Polski było wymownym dowodem, że wbrew nam nie można przestąpić pewnych granic ekspansji w rejonie między Litwą a Słowacją. Dopóty polityka niemiecka odnosiła sukcesy, dopóki szanowała życiowe pozycje Polski, z chwilą, gdy, nabierając rozpędu, uznała, że może spróbować przejść do metod nieco lekceważących, wspieranych pogróżkami, natknęła się na trudności, których rozmiarów na pewno nie przewidziała. Jest nad czym zastanowić się w Berlinie.

Nie piszemy artykułu o sytuacji międzynarodowej. Uważamy jednak za wskazane podkreślić, że ostatnie doświadczenia wykazały w pełni słuszność i trafność naszej niezależnej linii politycznej, która musi być w pełni utrzymana. Podstawą tej polityki jest własna siła państwa i niezależność decyzji politycznej.

Układu z Wielką Brytanią nie uważamy też za przystąpienie do jakiejś koalicji antyniemieckiej, czy antyfaszystowskiej. W naszym rozumieniu układ ten ma jedyne zabezpieczyć pokój i przywrócić europejską równowagę, naruszoną ostatnimi posunięciami niemieckimi.

Nadal uważamy, że wojna polsko-niemiecka gotowa przynieść korzyści kołom międzynarodowym, a w dalszej konsekwencji komunizmowi. Nadal też uważamy, że po ostatnim przywróceniu równowagi, stosunki polsko-niemieckie mogą powrócić do dawnej normy, ustalonej w traktacie polsko-niemieckim z r. 1934.

Niemcy jednak muszą zrozumieć, że od Polski nie mogą oczekiwać ani cienia uległości jednostronnej, że Polska może

być tylko ich równorzędnym partnerem, że naród nasz należy również do narodów młodych, roszczących sobie prawa do życiowej ekspansji i że podstawą naszego bytu niepodległego jest Bałtyk. Uważamy się za kraj bałtycki i wszystko, co dzieje się nad tym morzem, nie jest nam obojętne.

Dopiero, gdy by Niemcy tej prawdy uznać nie chcieli, Polska siłą rzeczy znalazłaby się w końcu po przeciwnej im barykadzie. Można bez przesady powiedzieć, że albo Niemcy wojować będą z międzynarodówkami, albo z Polakami. Jeżeli pójdą przeciw Polsce ucieszą serca komunistyczne. Będzie to oczywiście całkowite już zaprzeczenie teorii narodowo-socjalistycznej i wskazań Adolfa Hitlera. Ale troskę na ten temat pozostawiamy Niemcom. My tu w Polsce, gotowi każdej chwili do walki o byt narodowy i zupełnie nie czuli na pogróżki prasy niemieckiej, nie uważamy za wskazane bardziej oglądać się na reakcje międzynarodówek, niż to czynią ostatnio „rasistowskie" Niemcy w swych wysoce ryzykownych posunięciach dyplomatycznych.

*

Pokój będzie zapewne narazie uratowany. Ale będzie to pokój zbrojny, z karabinem u nogi. Więcej niż dotychczas posuwać się będzie militaryzacja życia społecznego w poszczególnych państwach.

Nie jest to dla nas nowina. Od dawna stoimy na stanowisku, że warunkiem samodzielności Polski jest jej siła. Polska musi być potęgą militarną, a naród polski narodem zmilitaryzowanym. Taka jest konieczność dziejowa. Taki nasz mus geopolityczny.

Słowa te wywołają może protesty różnych „szlachetnych teoretyków". P. Stanisław Łoś wydał niedawno obszerną książkę „Hellada na przełomie", w której, walcząc z totalizmem, usiłuje udowadniać, jakie nieszczęścia spadły na Spartę z powodu zmilitaryzowania jej życia politycznego i podporządkowania tam wszystkich interesów hasłu obronności. Wywody p. Łosia są najzupełniej nieprzekonywujące, bo również łatwo

dowieść, jakie triumfy odniosła polityka pruska dzięki militarystycznej organizacji kraju, dokonanej przez Fryderyków.

Wielu jeszcze ludzi wyobraża sobie, że „militaryzacja" oznacza zapędzenie wszystkich do koszar i oddanie władzy nad życiem społeczno-gospodarczym kraju w ręce dzielnych kaprali. Wielu łączy militaryzację z bezmyślnością.

Dla nas militaryzacja oznacza jedynie wzrost poczucia odpowiedzialności i dyscypliny wewnętrznej w społeczeństwie oraz oddanie w końcowym efekcie wyników pracy indywidualnej oraz wszelkich wysiłków na rzecz wzmożenia potencjału obronnego kraju. Natomiast militaryzacja nie oznacza ani tłumienia twórczości jednostek czy ogółu, ani dążenia do ograniczania dobrobytu. Przeciwnie, w interesie armii leży wzmaganie sił dynamicznych i twórczych narodu, jak i stałe podnoszenie poziomu ekonomicznego państwa. Jest to całkowicie zrozumiałe w czasach, gdy wojna ma charakter totalny i gdy od oficera, jak i od zwykłego żołnierza wymaga się wysokiego i wszechstronnego wykształcenia nie tylko ściśle zawodowego z dziedziny musztry rekruckiej. Koszary dzisiejsze nie uczą bezmyślności, ale są jedną ze szkół narodowego wychowania.

*

Konieczność konsolidacji narodowej uznawana jest dziś przez wszystkich. W czasach, gdy państwa atakowane są od wewnątrz, spoistość wewnętrzna jest jednym z warunków ogólnej obrony.

Istnieją jeszcze ludzie, którzy usiłują temu przeczyć. Istnieją jeszcze jednostki, które usiłują ratować rozbicie klasowe czy partyjne. Reakcja kraju całego na ostatnie wypadki zniosła te sztucznie podtrzymywane barykady, kreśląc ostateczny wyrok klasom i partiom.

Nie ma bowiem takiej klasy, takiej warstwy i takiej partii, dokoła której mógłby się naród zjednoczyć. Nie ma dziś takiej jednostki partyjnej, która stanowiłaby skupiający autorytet dla wszystkich. Elita partyjna zresztą, która rządziła Polską, gdy państwo nasze, poszturchiwane przez obcych, li-

czyło o dziesięć milionów mniej ludności, nie posiadało ani Gdyni, ani C. O. P., ani tej pozycji międzynarodowej, nie jest przygotowana psychicznie oraz moralnie do władania krajem, który musi być prowadzony dumną i niezłomną drogą niezależności. Kompleks wyższości musi ostatecznie u nas stłumić kompleksy niższości, hodowane jeszcze w zakamarkach dawnej struktury politycznej.

I dlatego oświadczamy po prostu i jasno: Jedynym naturalnym i moralnym ośrodkiem konsolidacji narodu i państwa jest armia i Wódz Naczelny Marszałek Polski Edward Śmigły Rydz. Tylko ten, kto stoi istotnie na czele wszystkich sił obronnych, wojskowych i cywilnych, państwa jest z samego swego tytułu Wodzem Narodu, łączącym i skupiającym wszystkich Polaków. Nie ma różnych metod konsolidacji narodu jest tylko ta jedna, która już się moralnie i faktycznie dokonała.

Karne i posłuszne podporządkowanie się Naczelnemu Wodzowi nie przyniesie ujmy nikomu, nie urazi żadnego prestige'u.

Szczęściem i siłą Polski — w przeciwieństwie do państw totalistyczno-doktrynerskich — jest bowiem fakt, że Wodzem Polaków jest nie żaden przewódca zwycięskiej partii, czy doktryny, ale Wódz tego, co mamy najdroższe i co wspólną otaczamy miłością — Wódz naszej Armii, następca Józefa Piłsudskiego.

Gdy ta prawda przeniknie do świadomości wszystkich, gdy wysnujemy z niej wszystkie konsekwencje pozostaniemy siłą niezwyciężoną, cokolwiek by się jeszcze stało w Europie.

O naśladownictwie, hermafrodytyźmie narodowym i pseudoimperialiźmie

Przyszłość narodu zależy od jego psychicznego zdrowia i siły. Ważna jest konstytucja, ważny jest ustrój tak, jak ważna jest każda forma życia. Piękno i użyteczność formy zresztą zależne są od zdrowia tych sił, które je utworzyły. Rozkładowe żywioły nie stworzą dobrego ustroju. Zdrowy ustrój tworzony jest zawsze przez zdrowe siły i zmierzające daleko w życie prądy narodu. I wtedy wywiera on zbawienne skutki, przyczynia się do wszechstronnego rozwoju całości narodu, powoduje jego rozkwit i rozrost. To wzajemne ożywiające oddziaływanie na siebie formy i treści widoczne jest we wszystkich dziedzinach życia.

Uznajemy więc w pełni, uznawaliśmy zawsze niezmierną wagę dobrej konstytucji, dobrego ustroju. Naród dążący do wielkości, musi nadać sobie ustrój taki, który nie tylko nie będzie krępował jego rozwoju, ale który oddziaływać będzie dodatnio na jego dynamizm, otworzy możliwości, stanie się łożyskiem kierującym i porządkującym siły narodowe tak, ażeby mogła nimi kierować celowa i świadoma wola.

Ale dobra konstytucja, dobry ustrój nie jest wszystkim. Można sobie wyobrazić fakt — i nieraz tak się działo w dziejach — że zdrowy, ale odosobniony prąd, dochodząc na jakiś czas do władzy, zdołał wytworzyć dobry ustrój, a jednak ustrój ten nie wydał spodziewanych rezultatów, gdyż nie został zużyty, nie został wypełniony żywą krwią. Co więcej, słabnące napięcie psychiczne prowadziło do obumierania, do powrotnego rozkruszania budowy. Najlepiej zbudowany organ, skoro odciąć mu dopływ krwi, albo do-

prowadzić do niego krew zepsutą, zamiera i psuje się. W języku lekarskim nazywa to się atrofią. Więc znamy i w życiu narodów objawy atrofii organów potrzebnych, gdy naród nie zdobył się na rytm żywej, zdrowej krwi tak potężny, iżby je potrafił nią wypełnić.

Procesy psychiczne, integralność świadomości narodowej, puls myśli, funkcjonowanie mózgu są rzeczami najważniejszymi w życiu narodów. Objawy słabości psychicznej i umysłowej są niesłychanie niebezpieczne. Często występują one pod maską, nie zdradzają barwą i ubiorem swojego właściwego znaczenia i pochodzenia. Konieczne jest jednak pilne i mądre rozpoznawanie procesów świadomości narodowej, ażeby w czas móc przeciwdziałać, o ile są szkodliwe. W takim ogniu dopiero wykuwa się i zmienia charakter narodowy, naród staje się sprawny i silny.

Istnieje wielka i wieczna na całym świecie walka energii z bezwładem życia, ze śmiercią. Ta walka toczy się codziennie i codziennie zwyciężamy śmierć. Śmierć może przegrać sto razy i zjawi się po raz sto pierwszy. Życie w tej walce nie może przegrać ani razu. Więc codziennie żywy naród musi zwyciężać w sobie pierwiastki śmierci. Wielcy ludzie i wielkie narody skazani są na bezustanną walkę. Zdolnością do wysiłku w tej walce mierzy się ich znaczenie i wielkość.

*

Mamy w Polsce od jakiegoś czasu nową manię, coś jakby świętą formułę, od której zaczynamy i na której kończymy wszystkie nasze mowy, oświadczenia, dziennikarskie artykuły i występy. Tą ceremonialną formułą stało się zastrzeżenie, że czyniąc coś, pisząc albo głosząc, nie zamierzamy nikogo naśladować.

Otóż zamiar ten jest oczywiście bardzo chwalebny. I należałoby się tylko cieszyć, gdyby był prawdą. Jednak nie jest to dowodem pewności siebie i wyraźnego poczucia samodzielności, gdy się każdy krok zaczyna od kurczowego zastrzegania się przed naśladownictwem. Nikt nie sprzeciwi się treści zastrzeżenia. Ale zbytnia jego częstość, ten

jakiś przerażony lęk przed zarzutem naśladownictwa zaczyna być nie tylko nudny, ale podejrzany. Staje się poprostu objawem, na który trzeba zwrócić uwagę. Można bowiem i należy czasem odeprzeć niesłuszny zarzut naśladownictwa, można raz na zawsze postawić zasadniczo sprawę, gdy tego zachodzi potrzeba, i ustalić, że każdy naród ze swojej potrzeby i w oparciu o swoje położenie żyje i tworzy, można wreszcie rozmaitym półgłówkom, którzy naprawdę zaczynają bezkrytycznie i powierzchownie małpować innych, powiedzieć ostro verba veritatis.

Jednak, gdy to wieczne zastrzeganie się szerzy się nagminnie i powtarza wszędzie, zaczyna ono robić wrażenie objawu czegoś poważniejszego, a mianowicie — istotnego braku poczucia własnej odrębności i niezależności. Istotna bowiem niezależność nie potrzebuje zastrzeżeń tego rodzaju gdyż rozumieją się one same przez się. A dalej w słabszych głowach przerodzić się one mogą w rodzaj hamulca, który narobić może dużej szkody, np. powstrzymać od otworzenia parasola podczas deszczu, ponieważ inni go już przedtem otworzyli.

Normalny, pewny siebie człowiek nie odczuwa potrzeby zastrzegania się. Robi to, co uważa za stosowne na podstawie przemyślanej i wyraźnej potrzeby, na podstawie rzeczywistego położenia i wysnutych z niego wniosków. Jest mu zupełnie obojętne i nie zastanawia on się przy rzeczywiście samodzielnej pracy, czy jest ona naśladownictwem. Wie, że żadna samodzielna praca, żadna samodzielna myśl nie jest naśladownictwem i nie przychodzi mu na myśl, żeby ciągle o tem pamiętać i to podkreślać. Nic go pozatem nie obchodzi, czy istnieją podobieństwa albo różnice z tym, co inne narody robią, pozostawiając analizę podobieństw i różnic „anatomom porównawczym" i późniejszym historykom. Nie cofa się przed najpotrzebniejszą rzeczą ze strachu, że ktoś mu zarzuci naśladownictwo. Słowo to nie wchodzi wogóle do repertuaru jego mózgu poprostu dlatego, że twórczość jego, wychodząca z własnej rzeczywistości, jest pewna siebie i głęboko osadzona. I właśnie ten fakt umożliwia studium tego, co się na świecie dzieje i nie przeszkadza ro-

zumnemu korzystaniu z cudzych doświadczeń. Przeciwnie, wymiana myśli i doświadczeń była i będzie zawsze żywa między narodami. Naród, który się od niej odcinał, nie wychodził na tym dobrze, pozbawiając się ożywczego oddziaływania takiej wymiany. Sama wymiana nie jest jednak naśladownictwem, a także równoległość pewnych rozwojów, które wynikają poprostu z epoki. Epoka jako czynnik współtwórczy wielkich linij rozwojowych jest wspólna wszystkim krajom.

Przeglądając literaturę, publicystykę i prasę zagraniczną, słuchając oświadczeń i mów mężów stanu wielkich państw, nie widzimy tego ciągłego zastrzegania się przed naśladownictwem, tego histerycznego strachu i krzyku, który się u nas szerzy. A przecież nie zarzucimy żadnemu z tych krajów, iż naśladuje inne. Tam nawet, gdzie były i są duże analogie, a występują one w czasie różnym, jak np. rozwój prądu hitlerowskiego, który w czasie jest późniejszy niż faszystowski, nigdy się nie słyszało i nie czytało tych ciągłych zastrzeżeń, że hitleryzm nie jest naśladownictwem faszyzmu. Nigdy hitleryzm nie cofał się przed jakimś krokiem dla tego, żeby nie być posądzonym o naśladownictwo, nigdy się przy takim czy innym zarządzeniu, albo oświadczeniu, czy wreszcie w artykule prasowym, nie zastrzegano na prawo i na lewo. Obydwa prądy były dość silne i pewne siebie, obydwa tak głęboko sięgnęły do istoty potrzeb własnego narodu, że nie kłopotały się ani o możliwe zarzuty ani też o pytanie czy są, czy nie są do siebie podobne. Ta kwestia była i jest dla nich zbyt mało ważna. Za silne było i jest w nich ugruntowane poczucie własnej niezależności i oryginalności, nawet w tych przejawach, które są do siebie podobne. Ba, nawet tam, gdzie naprawdę mogłoby się narzucić przypuszczenie naśladownictwa, jak np. ukłon przez podniesienie ręki, nikt się w Niemczech nie przejmował tym, że znacznie wcześniej ukłon taki zaprowadzili faszyści. I w gruncie rzeczy też oba prądy mają rację: są one przejawem nie naśladownictwa, ale pewnych potrzeb i warunków podobnych, które w obu narodach do tych samych względnie podobnych prowadzą wniosków.

Mussolini np. podjął politykę rasową znacznie później, niż Hitler. Kwestia żydowska nie była we Włoszech tak wyraźna, jak w Niemczech, i dopiero fakt dłuższej akcji antyfaszystowskiej, prowadzonej przez Żydów, a także zdobycie Abisynii i w związku z tym konieczność utrzymania czystości rasy zaktualizowało to zagadnienie. Nie ulega przytem wątpliwości, że przykład Niemiec oddziałał na faszyzm. Ale to też wszystko i polityka rasowa faszyzmu mimo to zgoła nie jest naśladownictwem, to znaczy czymś powierzchownym i nie dostosowanym do potrzeb narodu włoskiego. Wprost przeciwnie, wynika ona z istotnej potrzeby narodu włoskiego. Pewne wspólne rzeczy i podobieństwa wynikają pozatem zawsze z faktu, że cywilizacja europejska ma wspólne źródła, więc musi mieć też pewne wspólne linie rozwojowe, i to nawet tam, gdzie istnieją zmagania, które z nich wysunąć na pierwszy plan.

Jednocześnie, kto zna faszyzm i hitleryzm, ten wie, że w najgłębszej istocie są między nimi duże i zupełnie zasadnicze różnice narodowe. I właśnie istotna oryginalność obu prądów sprawia, że ani tu ani tam nikt się nie przejmował pytaniem, czy to albo owo jest naśladownictwem. Prąd zupełnie pewny siebie i dokładnie świadomy swoich celów, może nawet zupełnie spokojnie korzystać z cudzego przykładu, o ile on się nadaje dla jego potrzeby i celu, do którego dąży. Pozatem nawet zupełnie ta sama rzecz nie zawsze jest naśladownictwem. Znamy w nauce fakty, że uczeni, pracujący nad jakiemś zagadnieniem, w zupełnie różnych krajach i daleko od siebie, jeden o drugim nic nie wiedząc, robili to samo odkrycie. Te same zagadnienia te same wywołują skutki i do tych samych prowadzą odkryć. Oprócz wielu, wielu różnic, są więc — zgódźmy się na to odważnie — w życiu narodów i ludzi nie jedne rzeczy te same.

Histeryczny zaś strach przed naśladownictwem i ciągłe zastrzeganie się przed nim nasuwa mocne podejrzenie, iż nie jest on tylko wyrazem zdrowej zasadniczo dążności do oparcia się o własne warunki istnienia i do snucia własnej myśli i własnych konstrukcji, które by im odpowiadały, ale

że jest on wyrazem ukrytej i podświadomej niepewności, i dowodzi właśnie braku dostatecznie silnej oryginalnej myśli i koncepcji. Kto wie czego chce, kto postępuje w oparciu o własną dokładnie zanalizowaną i rozpoznaną rzeczywistość, ten nie ma ani czasu ani potrzeby zastanawiania się nad zagadnieniem naśladownictwa. Dla tego zagadnienie to poprostu nie istnieje.

I dlatego właśnie na ten objaw zwracamy uwagę. Łączy się on bowiem z wielu innymi objawami, łączy się z pewną powierzchownością w traktowaniu zagadnień, z niechęcią do poważnej książki i czasopisma i do poważnego wysiłku umysłowego, która właśnie wśród wielu tych polityków, którzy o naśladownictwie ciągle krzyczą, najbardziej się zaznacza. Nie poprą oni polskiej twórczości nawet przez kupno książki. Tymczasem nie negatywna obrona, ale pozytywna twórczość, głęboko osadzona świadomość własnego dążenia, jasne rozpoznanie położenia, zdrowa i logiczna reakcja myśli i woli i praca nad sobą jest właściwą bronią przeciwko niebezpieczeństwu powierzchownego naśladownictwa. Kto wie czego chce, i ma własną koncepcję, ten się nie przejmuje zagadnieniem naśladownictwa. Naród idący do celów wielkich, i do własnej wielkości, musi być zupełnie pewien siebie, musi posiadać to „samo się przez się rozumie" wielu rzeczy... gdyż tylko wtedy narzuci je sobie i innym. Są zasady tak oczywiście słuszne, że ich nawet bronić nie potrzeba, że o nich mówić nie trzeba, że na myśl nie przychodzi wogóle podejrzenie, iż może się wyłonić zarzut w tym kierunku. Gdy tak nie jest, wtedy należy rozpocząć prace nad ich ugruntowaniem, ale nie przez negację i przerażenie, ale przez pogłębienie własnej świadomości i własnej twórczości. A ponieważ są to rzeczy niezwykle ważne, aczkolwiek pozornie nieuchwytne, przeto objawy niedomagania wymagają natychmiastowej diagnozy, zbadania i rozpoznania.

*

W piśmie naszym nie uważaliśmy nigdy i nie uważamy za potrzebne, pisząc albo rozwijając myśl jakąś, rozpoczynać dyskusję od zapewnienia czytelników, że nie zamierza-

my nikogo naśladować. Nie piszemy też ciągle o tym, że chodzi nam o twórczość oryginalną, polską, o myśl z naszej polskiej rzeczywistości bezpośrednio wyrastającą. Nie czynimy tego dla tego, bo jest to dla nas rzecz najzupełniej oczywista i nie odczuwamy potrzeby zastrzeżeń. Co więcej — czujemy się tak pewni siebie, że nie wahalibyśmy się wcale stosować w Polsce z najzimniejszą krwią czegoś, co uważalibyśmy za potrzebne, chociażby rzecz podobną robiono gdzieindziej. Jest oczywiście warunek: bogactwo umysłowe Polski musi być tak duże, ażeby ją stać było na czerpanie bez szkody z dorobku cudzego, podobnie, jak to czynią mniej lub więcej wszystkie inne narody. Nie ciągłe defenzywne zastrzeganie się, ale własna poważna twórczość, własna tężyzna moralna i umysłowa jest jedynym środkiem na niebezpieczeństwo szkodliwego naśladownictwa. Tworzyć środowiska takiej twórczości, krzewić istnienie ognisk, które dadzą płomień silny i mocny, w którym cudze światło, nawet gdy do niego dojdzie, się roztopi, usilna, głęboka praca umysłowa — oto rzeczy, których potrzeba. Tam gdzie niema własnego płomienia, zawsze się ludzie przy cudzym grzać będą. Na to żadne zastrzeżenia nie pomogą. Spytajwy się jednak z ręką na sercu: Czy w Polsce ludziom, którzy starają się tworzyć polską myśl polityczną, oddaje się sprawiedliwość? Jaka jest ich hierachia i wpływ?

*

Nie wiemy, czy w jakimkolwiek kraju i narodzie jest rzeczą możliwą, ażeby jego członkowie robili ze siebie apostołów krzywd prawdziwych, czy rzekomych, innych narodów i stwarzali wewnątrz własnego narodu zastęp bojowników o interesy cudze. Każdy normalny naród wychodzi z tego założenia, że walczy wyłącznie o swoje własne interesy, pozostawiając kłopot o cudze interesy tym, których one bezpośrednio dotyczą. W Polsce jednak dziwna jest w niektórych ludziach psychologia: zajmują się oni czy to Ukraińcami, czy Żydami, czy Białorusinami, czy Litwinami, wzruszają się nimi i opiekują do tego stopnia, iż zapominają, albo nie mają czasu na myślenie o Polakach. W ciągu

ostatnich dwudziestu lat Polski niepodległej działali — i działają jeszcze — w Polsce ludzie, określający siebie jako Polaków, których główna praca polityczna polega na obronie innych narodowości w państwie polskim, a nawet poza nim, a często na tworzeniu ich tam, gdzie ich przedtem nie było, względnie, gdzie ludność nie miała żadnej świadomości narodowej. Każda grupa narodowościowa w Polsce, bez względu na to, że jako całość prowadziła najostrzejszą antypolską działalność, znajdowała i znajduje w samej Polsce zaciętych obrońców i protektorów. Dziwna ta psychologia, niezrozumiała naprzykład dla zachodnich Polaków, w dużym stopniu przejawiała się na kresach wschodnich oraz północnowschodnich. Ludzie tacy często osłaniają notorycznych wrogów polskości i są orędownikami wrogich polskości grup narodowych, nie zdradzają zaś żadnej reakcji na krzywdy i straty polskości. Dzisiaj widzimy, jak dalece podważono siłę polskości na kresach, albo conajmniej, jak mało wyzyskano te możliwości, które istniały w celu ugruntowania jej pełnego zwycięstwa. Są to rzeczy niepojęte dla normalnie i zdrowo myślącego po polsku mózgu. Wiele wypadków z polskiego trzeźwego i logicznego punktu widzenia należałoby poprostu określić, jako zdradę stanu, ludzi odnośnych — jako zdrajców. Niezrozumiałą też jest rzeczą długoletni i dotychczas właściwie, trwający — bodajże w ostatnim dopiero czasie rzecz zaczyna się zmieniać — brak reakcji na zjawisko masowych strat polskiego stanu posiadania. „Gazeta Polska" z dnia 12 lutego 1939 w artykule pod tytułem „Ojcze nasz w własnym języku" powiada np. że „w ciągu 20 lat naszej niepodległości zapisano bezprawnie pół miliona polskich dzieci do ksiąg obrządku wschodniego" czyli, że je zruszczono. Normalnie myślący człowiek nie może zrozumieć ani faktu, ani braku bezwzględnej reakcji państwowej na ten stan rzeczy, podobnie jak nie mógł zrozumieć polityki na Wołyniu ani postępowania rozmaitych kół na północno-wschodnich kresach i w Wilnie.

Nie wahamy się stwierdzić, że ani w Niemczech, ani we Włoszech, ani gdzie indziej akcja metropolity Szeptyckiego

nie byłaby możliwa. Przede wszystkim nie byłby możliwy Szeptycki na stanowisku metropolity.

*

W „Kurierze Wileńskim" ukazał się niedawno artykuł niezwykle znamienny jako objaw zupełnie specyficznej psychologii. Wyrażał on ból i oburzenie z powodu niektórych odwetowych zarządzeń Polski w stosunku do mniejszości litewskich. „Gorzej bolały, bo niech to robi jakiś rząd, ale jeżeli mój" brzmiały słowa artykułu. Czyli, że gdy te same rzeczy albo gorsze spotykały i spotykają Polaków w Litwie, to czuła dusza była bardziej opancerzona, mniej się wstydziła. Rząd polski jej zdaniem nie powinien był ujmować się za Polakami po wyczerpaniu innych środków w taki sposób, który wreszcie mógłby dać wynik.

W oczach takich ludzi jest to niemoralne. Serce ich boli w sposób nieznośny wobec cierpienia cudzego. O swojej krzywdzie narodowej, która była przecież powodem reakcji polskiej, zapominają zupełnie. Wogóle, brak u nich zawsze zdrowej, samej przez się rozumiejącej się reakcji na niebezpieczeństwo, albo krzywdę polskości. Typowi człowieka, którego tutaj charakteryzujemy, zawsze bliższy jest ból obcy, niż ból własnych rodaków. W reakcji polskiej widzi w pierwszym rzędzie krzywdę obcego i w tę krzywdę się wczuwa. Czyni to do tego stopnia, iż miejsca na odczucie krzywdy polskiej już nie znajduje. Polacy i ich cierpienia są na dalszym planie.

Ludzie i grupy tego rodzaju dziwnie dwoiste wykazują oblicze. Taki np. „Kurier Wileński" czuje się niesłychanie dotknięty, gdy władze polskie wysiedlą z pasa pogranicznego ludzi, których działalność władze te uważają — oczywiście nie bez powodu, — za niebezpieczną dla Państwa Polskiego i rozpoczyna w ich obronie całą kampanię. Fakt, że ujmuje się de facto w ten sposób za agitatorami antypolskimi, jakoś nie dochodzi do świadomości autorów tej kampanii.

W przytoczonym powyżej artykule „Kuriera Wileńskiego" znajduje się jeszcze jedno zdanie tak charakterystyczne dla psychologii pewnych ludzi w Polsce, iż zasłu-

guje na dokładniejsze rozpatrzenie. Mowa w nim o pokoleniu, któreby „za nic nie potrafiło i nie chciało odmierzyć, ile kto z nas ma uncji krwi litewskiej, białoruskiej czy polskiej“.

Zwracamy uwagę na drobny pozornie szczegół: w polskim piśmie krew polską wymienia się na ostatnim miejscu. Rzecz jednak główną zawieramy w pytaniu: cóż to znaczy, jeżeli ktoś „nie chce odmierzyć, ile ma w sobie uncji krwi litewskiej, białoruskiej czy polskiej“? Otóż człowiek, który stoi na takim stanowisku, w istocie nie należy do żadnego narodu. Jaźń jego jest najwyraźniej rozbita. Czuje on w sobie walkę krwi. Nie jest to ani Polak, ani Rusin, ani Litwin. (Odwracamy w naszym piśmie hierarchię narodowości). To też często na zapytanie człowiek taki, ucieka się do pojęcia, wywodzącego się z innej dziedziny, odpowiada pojęciem „krajowości“, względnie „tutejszości“, pojęciem nie narodowym, ale terytorialnym. Niemcy używają dla określenie takiej mieszanki, wprawdzie nie w odniesieniu do ludzi, ale mniejsza o to — pogardliwego wyrażenia: „Promenadenmischung“.

Skoro już o tym mowa, powiedzmy otwarcie, że w całej Europie niema prawie narodu i ludzi, którzy nie mieliby w sobie krwi rozmaitych szczepów. Czysta może być ona tylko z szerszego rasowego punktu widzenia, a więc np. czysto aryjska. Gdyby jednak poza takie rozróżnienie sięgać dalej i szukać w ludziach krwi poszczególnych narodów i szczepów, to np. połowa Niemców od Łaby począwszy na wschód, ma w sobie mieszaninę krwi germańskiej i słowiańskiej. W wielu Polakach płynie domieszka krwi germańskiej, ruskiej, litewskiej, w wielu Niemcach, Litwinach czy Ukraińcach, i to bardzo zaciętych, płynie wielka domieszka a czasem większość krwi polskiej. Wogóle człowiek, posiadający w sobie krew tylko jednego narodu, byłby chyba rzadkością. Bywają nawet domieszki stosunkowo świeże. Nie to jednak rozstrzyga o poczuciu narodowym. Narody polski, niemiecki, litewski, ruski itd., zbyt są ze sobą rasowo spokrewnione, ażeby zmieszanie ich krwi musiało wywoływać rozdwojenie, tak jak to widzimy przy rzeczywistej

mieszaninie ras. Każdy człowiek stapia w sobie wszystkie pierwiastki dostatecznie pokrewne, tak, iż jeden dominuje bezapelacyjnie, sprawiając, iż jest się albo Polakiem, albo Niemcem, albo Litwinem. W podobny sposób w każdym człowieku istnieje pierwiastek żeński i męski. A jednak jest się albo mężczyzną, albo kobietą. Jeden pierwiastek podporządkowuje sobie drugi i nadaje jednolity charakter całości. Hermafrodytyzm płciowy jest zjawiskiem nienormalnym i chorobliwym. Tak samo nienormalnym zjawiskiem jest hermafrodytyzm narodowy.

Postawienie kwestii w ten sposób, jak to uczyniono w artykule „Kuriera Wileńskiego" dowodzi, iż w ludziach tego rodzaju nie jest zakończony proces krystalizacyjny świadomości narodowej. Ich jaźń narodowa rozszczepia się. Ludzie ci nie reagują wskutek tego normalnie na najprostsze rzeczy, dotyczące ich własnego narodu. Odczuwają hamulce, które wypaczają kierunek normalnych reakcji. Pojawiają się w nich dalej reakcje, które wogóle pojawiać się nie powinny. Najchętniej chcieliby być i tu i tam. Gdy przychodzi konflikt między dwoma narodami, znajdują się w położeniu dla nich samych najbardziej kłopotliwym. Często, o ile mają coś do powiedzenia, wstrzymują najsłuszniejsze, choć twarde czasem posunięcia. Dostępni są wpływom, idącym od drugiego narodu. Wtedy właśnie wytwarza się często taka sytuacja, że człowiek uważający siebie za Polaka i mówiący po polsku, staje się orędownikiem innego narodu, i powoli nawet narzędziem jego działania, nie zdając może sobie dokładnie sprawy z tego, co robi.

Otóż wiele rzeczy w Polsce, wiele błędów w polityce mniejszościowej, wiele zahamowań, interwencji w interesie nie polskim, brak bezkompromisowej i twardej obrony polskości, co tu i tam doprowadziło nawet do cofania się polskości w niepodległym państwie polskim, zawdzięczamy wpływowi takich właśnie psychicznych ustrojów. Tego rodzaju element zawsze bywa wyzyskiwany przez agresywny element obcy, jako wał ochronny, jako narzędzie, a nawet, jako brama penetracji. Nie reprezentuje on przede wszystkim nigdzie sugestywnej i pewnej siebie siły pol-

skiej. Uważa on często, że doprowadzaniem do kompromisu spełnia dobry uczynek. A tymczasem nie robi on w gruncie rzeczy nic innego, jak tylko przenosi własną, niewyraźną świadomość narodową na szerszy teren, co w wynikach prowadzi poprostu do załamań. I otóż w wielu wypadkach kradzież dusz polskich, brak reakcji na atak, prowadzony w samej Polsce pod okiem Polaków i polskiej władzy państwowej na polskość, jakieś zdumiewające próby ugłaskania atakujących tolerancją ich antypolskich wyczynów, były i są możliwe tylko dzięki istnieniu takiej psychologii i możliwości jej wpływu.

Powtarzamy jednak, że mieszanina krwi, o ile płynie z jednego źródła krwi aryjskiej, wcale nie potrzebuje dawać rozdwojenia jaźni narodowej. Rozdwaja się ona tylko wtedy, o ile ten pierwiastek psychiczny, który powinien zapanować nad całością, został za słabo rozwinięty, ażeby przeprowadzić proces ujednolicenia mieszaniny w jeden stop, o zdecydowanym tonie i obliczu. Jeżeli na peryferiach pierwiastek narodowy polski nie we wszystkich mózgach zapanował do końca, winne jest temu poprostu zbyt słabe widocznie natężenie pierwiastka polskiego, nie do końca doprowadzona jego ekspansja, nie dość bezkompromisowe i świadome jego wystąpienie. W tym świetle rola nacjonalizmu polskiego głęboko pojętego jest jeszcze w Polsce bardzo duża. Co więcej — patrząc na rzecz z punktu widzenia dziejów — jest ona historyczną koniecznością.

*

Prof. Zygmunt Wojciechowski w pracach swoich od dłuższego czasu kładzie ogromny nacisk na wagę i rolę tych ziem polskich, na których Polacy tworzą zwartą, jednolitą i mocną masę narodową. Są to ziemie zachodnie Polski, na których bije źródło najczystszej polskości i gdzie nastąpiła też krystalizacja państwa polskiego. Prof. Wojciechowski wskazywał na olbrzymie straty, które Polska poniosła przez to, że zaniedbała ziemie najbardziej rdzennie polskie, na których Polacy siedzieli w masie, stanowiąc istotny i najbardziej jednolity etnicznie rdzeń narodu polskiego. Eks-

pansja Polski na ziemie wschodnie przy jednoczesnym traceniu ziem najbardziej rdzennie polskich osłabiła w Polsce siłę żywiołu polskiego, który nie zdołał wszędzie doprowadzić do końca stopnienia wchłoniętych elementów obcych. Nigdzie bardziej nie rozumie się słuszności tezy prof. Wojciechowskiego, jak przyglądając się i studiując tę „peryferyjną" psychologię niektórych grup i ludzi w Polsce. Być może, że rozbiory Polski przerwały pewne procesy. Jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że będziemy musieli przystąpić w jaknajkrótszym czasie do ich dokończenia.

Dokończyć zaś trzeba będzie te procesy nie tylko terenowo, ale jak się okazuje, również psychicznie, na wewnątrz samego narodu polskiego. Nie możemy tolerować w naszej jaźni narodowej typu mieszańców psychicznych. W tym świetle niewątpliwie wielkiej wagi nabierają te ziemie, które były i są zawsze ostoją polszczyzny najczystszej i niczem nie rozłamanej, to zn. ziemie zachodnie Polski. Ogromnej wagi nabiera również dokończenie i ujednolicenie bezkompromisowej polskiej świadomości narodowej, która musi objąć całe państwo i wyprostować nie jedne jeszcze odchylenia i niejasności oraz wytopić w ogniu istniejące jeszcze tu i tam żużle. Dlatego właśnie nacjonalizm w Polsce jest prądem podwójnie aktualnym. Nie może być on uważany jako moda. Tym mniej można tu mówić o jakimkolwiek naśladownictwie również tam, gdzie zdradza on rozpęd, ogarniający całokształt duszy polskiej i życia polskiego. Operowanie tutaj głupim zarzutem totalizmu, względnie naśladownictwa totalistycznych ustrojów czy prądów, jest albo idiotyzmem, albo wynikiem prądów przeciwdziałających procesowi wytapiania i przetapiania w polskiej świadomości narodowej obcych czynników psychicznych. Zdrowa myśl polska zawsze i wszędzie uznawać będzie to za dobre, co jest dla rozwoju narodu polskiego potrzebne, i kpić sobie będzie z tego, czy taki albo inny człowiek nierozumny, albo nawet mieszaniec psychiczny będzie to tak czy inaczej nazywał . Nacjonalizm w Polsce i wszystkie jego dążenia, nawet dążenia totalistyczne, są niezależne od wszystkiego, co się na świecie dzieje, chociażby

nawet miały się w tym czy innym kierunku pojawiać linie równoległe. Nacjonalizm polski i konieczność jego rozrostu i ogarnięcia jak najszerszych dziedzin życia wypływa bowiem z najistotniejszych konieczności i z położenia narodu polskiego. Rzeczywisty zaś charakter narodu mierzyć się może tylko zdolnością do uczynienia wszystkiego, co w danej chwili jest koniecznością dziejową.

Rozwój nacjonalizmu dyktuje nam dzisiaj instynkt narodowy, zmierzający do wyprostowania świadomości narodowej i przygotowania narodu psychicznie i umysłowo do oczekujących go zadań. I znowuż nie jest zgoła rzeczą dziwną, że najbardziej nacjonalistycznie usposobione są właśnie zachodnie połacie Polski, będące rdzeniem polskiej masy narodowej. Te ziemie będą musiały powoli coraz bardziej ciążyć nad całością Polski, ażeby silniej, niż dotychczas zaznaczyć w państwie polski rdzeń i polską świadomość narodową.

Jednym z najbliższych zadań jest gruntowne zahamowanie — i to wszelkimi środkami — tracenia substancji polskiej masy narodowej. Tego zadania mogą jednak dokonać tylko właśnie najbardziej świadomi i jednolici psychicznie Polacy. Zadaniem prądów narodowych w Polsce musi też być podniesienie temperatury narodowej i to oczywiście rzeczywiste i sięgające w głąb, a nie tylko powierzchowne, polegające na krzykach i awanturach. Skoro bowiem istnieją objawy niedostatecznego stopienia rozmaitych elementów narodowych w psychice poszczególnych grup i ludzi, co odbija się na aktywności i bezkompromisowej polskości tych żywiołów, tedy jedynie podniesienie temperatury i mocne przeoranie wychowawcze i umysłowe spowoduje dokończenie stopu i ujednolicenie tej psychiki przez pierwiastek polski. Wypełnienie tego warunku jest między innymi podstawą owocnej polityki mniejszościowej. Masa narodu polskiego stanie się wtedy zarówno większa, jak też, co jest bardzo ważne, bardziej jednolita i zwarta. Nie będzie w niej punktów słabszej odporności, przez które wdzierać się może obcy sposób odczuwania i nadwątlać zwartość organizmu narodowego oraz paraliżować najbar-

dziej potrzebne jego reakcje, a nawet wykruszać z niego poszczególne jednostki i grupy. Zresztą tylko bardzo świadomy, pewny siebie i silnie występujący w stosunku do innych naród oddziałuje sugestywnie na inne szczepy, przyciąga i wchłania jednostki i grupy. Nigdy wysunięcie na front mniejszościowy grup i jednostek połowicznych nie wywrze dobrego skutku. Ten właśnie błąd w Polsce często popełniano. Wydawało się niektórym ludziom, że postawienie na terenach narodowo mieszanych jednostek niewyraźnych, o psychice przepołowionej i skłaniającej się na dwie strony, stanowić będzie pomost między narodowościami. Działo się wprost przeciwnie i dziać się tak musiało. Wystawienie ludzi niejednolitych pod względem świadomości i psychiki narodowej na front ataku drugiej strony umożliwiło i umożliwić musiało wdzieranie się tego ataku w głąb polskiego ciała narodowego. Nie napotykał on bowiem wyraźnego oporu i wyraźnej reakcji. Tam zaś, gdzie przeciwna strona nie prowadziła jeszcze narazie ataku i stan był niewyraźny, ludzie ci umożliwili osadzenie się wrogich ośrodków propagandy z tego prostego powodu, że na próby jej nie nastąpiła natychmiastowa reakcja polska. Jak kresy nasze wschodnie długie i szerokie, obserwować możemy te objawy i ich skutki w rozmaitej postaci i w rozmaitym natężeniu. Dzisiaj widzimy niezwykły paradoks, że przystępować musimy do odzyskiwania spowrotem ludności polskiej którąśmy lekkomyślnie zaniedbali i powierzyli w nieodpowiednie ręce.

Wniosek jest jasny: Naród polski w szybkim tempie dążyć musi do likwidowania w swoim łonie hermafrodytów politycznych i narodowych, bo stanowią oni wyraźną drogę wdzierania się do jego mózgu obcych wpływów, obcych uczuć, myśli i interesów.

*

Istnieją w Polsce ludzie i grupy, chętnie nazywające siebie imperialistami polskimi.

Imperializm polski? Bardzo słusznie, ale kto jest imperialistą, ten musi wpierw wypełnić w sobie do ostatniej komórki polskością mózg i serce. Kwestia imperializmu jest

przedewszystkiem zagadnieniem wymurowania najdokładniejszego i najmocniejszego nietylko materialnej i zbrojnej siły, ale również podstawy psychicznej i narodowej. Słusznie powiedział kilka miesięcy temu podczas dyskusji nad programem ruchu młodo-narodowego prof. Deryng, że warunkiem każdego imperializmu jest wzmocnienie bazy. Tę właśnie zasadę wogóle w odniesieniu do aktywności politycznej w stosunku do zagranicy postawił od samego początku Hitler i realizuje ją konsekwentnie. Kto jest imperialistą, ten musi postępować i myśleć na daleką metę, musi w pierwszym rzędzie przygotować naród do możliwości ekspansji, wykuć mocno jego zwartość i jednolitość pod każdym względem. Imperializm to jest polityka na bardzo daleką metę, i to na tym dalszą, im więcej należy jeszcze zrobić na wewnątrz, ażeby się do rzeczywistej polityki imperialistycznej przygotować. Kto myśli imperialistycznie, ten musi z natury rzeczy myśleć kategoriami wiekowymi, a w tych kategoriach zupełnie ściśle określonymi etapami, podczas których odkłada rzeczy późniejsze, realizując te, od których urzeczywistnienia dalsze etapy zależą. Tymczasem u nas rzecz dziwna, najwięcej zachowują się jak imperialiści ludzie bardzo niecierpliwi, którzy zupełnie nie umieją rozłożyć na trzeźwo kolejności zadań i zdradzają podejrzaną nerwowość. Przede wszystkiem nie myślą oni zupełnie o konieczności bezkompromisowego wzmocnienia masy narodu polskiego w państwie polskim. Imperializm bowiem nie może być nigdy mechanicznym imperializmem jakiegoś tworu państwowego bez duszy i bez charakteru. Imperializm jest tylko wtedy uzasadniony, i może prowadzić do wzmożenia potęgi, o ile oparty jest o niewzruszoną podstawę wielkiej, jednolitej i wyraźnej masy jakiegoś narodu, o jego wypracowaną dokładnie i niedwuznacznie świadomość i myśl narodową, i o ile rozporządza narodem i państwem jednolitym i świetnie zorganizowanym. Tylko pod tym warunkiem dany naród się w swoim imperialiźmie nie zagubi. W przeciwnym razie nie zdoła on utrzymać tego, co opanował, albo nie posiadając dostatecznie silnej masy i trzonu świadomości naro-

dowej, zacznie się rozpływać i rozkładać w obcej masie, podobnie, jak kiedyś mongołowie rozpłynęli się w Chinach albo średniowieczne państwo litewskie zgubiło swoją litewskość w masie ruskiej i kulturze polskiej, dziś dopiero z trudem odradzając się na swoim terytorium etnograficznym. Jakże niebezpieczne dla samej Litwy są z tego punktu widzenia litewskie roszczenia wileńskie!

Pierwszym etapem nie tylko imperializmu, ale trwałej aktywności w polityce zagranicznej będzie ochrona, wzmocnienie i rozwój żywiołu narodowego polskiego w jego własnym państwie, wytworzenie duchowego monolitu polskości i zdolności do szybkiej, twardej i czysto polskiej reakcji. Skoro nawet płynie w niektórych grupach ludności domieszka krwi innej, krew ta wtopić się musi całkowicie w krew polską do tego stopnia, iżby nawet na najczulsze odczyny tylko po polsku reagowała. Inne reakcje winny być jej zupełnie obce i niezrozumiałe, tak jak już dzisiaj niezrozumiałe i obce są reakcje niektórych mieszańców psychicznych czysto polskiemu trzonowi ludności.

Dzisiaj rzeczywistego prądu imperialistycznego w Polsce nie ma. I w gruncie rzeczy te prądy, które mogą i będą rozwijać kiedyś imperializm polski, muszą dzisiaj zwrócić cały swój wysiłek właśnie na umocnienie podstawy nie tylko materialnej ale i psychicznej narodu polskiego. Te tęsknoty, które się u pewnych ludzi w Polsce gdzieś ku Ukrainie albo ku Litwie pojawiają i które oni sami chętnie nazywają polskim imperializmem, nie są, niestety, żadnym imperializmem. U źródła tych „imperializmów", nie leży zgoła prężność i dynamizm polskości. Jest w nim zato chęć wybrnięcia z dylematu własnej dwoistości, chęć pogodzenia dwóch albo i więcej niestopionych krwi, pragnienie uniknięcia konfliktu między nimi. Stąd właśnie u tych „imperialistów" namiętna chęć zgody między tymi narodami, w czym nie byłoby oczywiście nic złego, gdyby właśnie tej zgody nie byli zawsze gotowi okupić otwarcie, a czasem nieświadomie, kompromisem między interesami polskimi i cudzymi i wyrzekaniem się zasięgu czystej polskości. Chcieliby oni rozszerzyć Polskę na całą Ukrainę, na Litwę, na

Białoruś, jednak nie rozszerzyć tam panowania masy polskiej, a tylko tworzyć jakiś dziwny, niestopiony konglomerat narodowościowy, na wzór tej niestopionej w ich własnej duszy mięszaniny i wynikającego z niej poczucia dwoistości i troistości narodowej. Dla osiągnięcia celu byli nawet gotowi — i czynili to niestety — zagubić polskość, popierając na terytorium państwa polskiego rozwój obcych narodów. Tego rodzaju pseudo-imperialistyczne dążności nie mają nic wspólnego z prawdziwym imperializmem, mogącym wypłynąć jedynie z silnych psychicznie źródeł polskości czystej i jednolitej, która zmierza do ekspansji na zasadzie nagromadzenia energii i dążności do rozszerzenia swojego — ale tylko swojego — panowania. „Pseudo-imperializm“ wywodzący się z dwoistości poczucia narodowego jest dowodem słabości polskiej narodowej świadomości, jest dowodem dążności do wybrnięcia z własnego konfliktu duchowego przez projekcję własnej psychiki na stosunki narodowe i polityczne narodów. W pojęciu takiego „imperializmu“ nie istnieje prymat interesów narodu polskiego. Wszystko ma być równorzędne, co nazywa się sprawiedliwością i tolerancją, a w istocie jest wyrzeczeniem się imperializmu polskości. W samym słowie imperializm zawarte jest jednak pojęcie nadrzędności, zawarty jest rozkaz i motyw podporządkowywania. Imperializm musi wynikać z sił i prężności jednolitej masy, a nie z wewnętrznego załamania i rozłamania się psychiki narodowej.

Polski imperializm prawdziwy, mocny i nieubłagany wymaga daleko jeszcze idącego przeorania duszy polskiej i myśli polskiej. Wymaga on również przetopienia nie jednego jeszcze mózgu, nie jednej mieszanki krwi, która sama w sobie — pod warunkiem jednak dokonania ostatecznego stopu — może dać bardzo dobry kruszec. Ten kruszec musi być jednak jednolity zupełnie. W dwu więc kierunkach trzeba będzie rozwinąć pracę: w kierunku wzmocnienia i myślowego rozbudowania polskiej świadomości narodowej, ustalenia pewnych oczywistych prawd i wpojenia ich w mózgi, oraz w kierunku wypełnienia państwa polskiego

tak przetopioną, czysto polską masą narodową. Potem można dopiero mówić o dalszych etapach.

Piszemy o tym, bo to tylko pozornie są rzeczy odległe. Widzimy doskonale, właśnie w chwili obecnej, jak niedociągnięcia świadomości narodowej, jak niejednolitość masy, wypełniającej państwo, paraliżuje reakcje i jaki stanowi świetny punkt wyjścia do ataku przez siły wrogie. To nie jest wcale kwestia drugo- albo trzeciorzędna, którą poruszamy, to jest kwestia najpierwszorzędniejsza. Uzbrojenie i przygotowanie psychiczne równa się pod względem wagi przygotowaniu uzbrojenia armii i jest warunkiem utrwalenia niepodległości. Dzisiaj, przez otwarte miejsca w naszej masie narodowej, nie zwierane przez silną psychicznie konstrukcję we wszystkich grupach naszego narodu, wycieka duża ilość najcenniejszej krwi polskiej. Na ten zbytek pozwolić sobie nie możemy.

*

Kwestia ujęcia wychowania narodu i dokończenia tych procesów, które, być może, przerwała długoletnia niewola, dokończenia ich nie tylko zewnętrznie, ale również w dziedzinie umysłowej i duchowej, wyłania się tym wyraźniej i natarczywiej, im bardziej zgłębiać będziemy istotę niedomagań i stawiać diagnozę. Trzeba to czynić spiesznie, bo każda zwłoka powoduje olbrzymie straty. Zaczęła się już u nas reakcja na niesłychany upust krwi polskiej, który się aż do ostatnich czasów dokonywał. Reakcja ta musi jednak sięgnąć w głąb, musi uchwycić źródło tych chorób, stwarzające w obiegu krwi polskiej punkty słabszej odporności, przez które ona wycieka, albo przez które co gorzej, wdzierają się do niego ciała obce, osłabiające odporność całego organizmu. Wszystkie „krajowości" i tym podobne pojęcia trzeba będzie raz na zawsze wytępić. Nie możemy tolerować rozdwojenia psychicznego i niewyraźnych elementów w naszej świadomości narodowej. Przed naszą polityką oświatową w szerokim tego słowa znaczeniu, obejmującą kształcenie umysłowe i duchowe całego narodu, są

jeszcze wielkie zadania. Czekają one na człowieka głęboko rozumiejącego istotę rzeczy. Ująć je trzeba będzie w jednolite łożysko i nadać odpowiedni kierunek wysiłkowi, który kształtować będzie myśl i świadomość narodu. Jak to się będzie nazywało, jest rzeczą obojętną. W każdym razie, wysiłek ten nie może się cofnąć przed żadnym słowem i przed żadnym zarzutem.

Jerzy Drobnik

Język polski dźwignią jedności narodu i państwa[1])

Język jest — można powiedzieć — najbardziej charakterystyczną cechą człowieka: jako wytwór duszy ludzkiej i wyraz jej rozwoju stanowi on właściwy przedział między człowiekiem a zwierzęciem. Wprawdzie i zwierzęta mają rozmaite sposoby wyrażania uczuć, do pewnego stopnia także porozumiewania się z sobą za pomocą głosu — pies szczeka inaczej gdy się cieszy, inaczej gdy się gniewa a inaczej gdy ostrzega przed grożącym niebezpieczeństwem, ale głosy te nie dadzą się powiązać z sobą w żaden system i nie mogą wyrażać nic więcej prócz najprostszych nastrojów i uczuć, nie nadają się zupełnie do formułowania i wyrażania myśli, jak się to dzieje u ludzi. Trzeba dopiero wznieść się na wyższy poziom rozwoju duchowego, do jakiego zwierzę dojść nie jest w stanie, aby głosy wydawane pierwotnie pod wpływem nastrojów wywoływanych przez szczególnie silne wrażenia zewnętrzne, zaczęły się wiązać na stałe z pewnymi wyobrażeniami i mogły w dalszym ciągu układać się w system zdatny do wyrażania nie tylko najprostszych uczuć, ale także myśli i chęci. Wiemy, jak długo trwają wysiłki dziecka uczącego się mówić, zanim zdobędzie możność budowania wyrazów i wiązania ich w zdania wyrażające jego myśli, uczucia i chęci w sposób zrozumiały dla drugich. Potrzeba do tego nietylko jego własnego wysiłku, ale trzeba też obcowania z drugimi, z którymi się chce porozumieć i których mowę naśladuje, ucząc się od nich mówić. Bez tego wzajemnego obcowania, bez dążności do porozumienia się z innymi dziecko nigdy nie nauczyłoby się mówić — wiemy że dzieci głuche od urodzenia i odcięte przez to od obcowania z innymi pozostają też niemymi, jeśli się ich nie nauczy mowy

---

[1]) Odczyt inauguracyjny w cyklu Powszechnych Wykładów Uniwersytetu Jagiellońskiego na Śląsku Zaolziańskim wygłoszony dn. 8. I. 1939 r. w Cieszynie Zachodnim.

sztucznym sposobem w specjalnych zakładach. Widać stąd, że mowa powstaje tylko przez wzajemne oddziaływanie na siebie umysłów ludzkich, jest więc zjawiskiem zależnym od współżycia społecznego, jest faktem społecznym. Język jak z jednej strony powstaje przez wzajemne porozumiewanie się ludzi, tak z drugiej strony jest najważniejszym środkiem łączącym ludzi w społeczność. Wiemy z najprostszego, codziennego doświadczenia, że wśród ludzi mówiących językiem dla nas niezrozumiałym czujemy się obcy, na odwrót znalazłszy się w otoczeniu posługującym się mową zrozumiałą czujemy od razu pewną z nim łączność, choćby składało się z ludzi, z którymi nigdyśmy się nie stykali. Ludy o bardziej pierwotnej kulturze są skłonne wprost uważać każdego mówiącego językiem im niezrozumiałym za wroga albo też za człowieka ułomnego, niemowę. Stąd pochodzi, że przodkowie nasi przezwali swoich zachodnich sąsiadów, których mowy nie rozumieli, Niemcami tj. niemymi. Na odwrót plemiona, które mogły się z naszymi przodkami bez trudności wzajemnie porozumiewać, noszą nazwę Słowian, w której — bez względu na to jakie jest jej istotne etymologiczne pochodzenie, dotąd jeszcze w nauce ostatecznie nie wyjaśnione — wszyscy odczuwamy związek z wyrazem słowo i możemy wnosić, że pojmowano ją jako nazwę plemion mówiących słowami tj. całkowicie zrozumiale. Równolegle z tym rdzeń, który posłużył Niemcom do stworzenia ich własnej nazwy etniczno-językowej, stał się w swej pierwotnej postaci teud — podstawą przymiotnika, który u Słowian oznacza obcego, nie mającego z nami związku, a dziś brzmi po polsku cudzy. Przykłady te powinny nam wystarczyć dla uwypuklenia tego, cośmy już poprzednio stwierdzili, a mianowicie, że język wzajemnie zrozumiały stwarza poczucie łączności między ludźmi a niezrozumiałość języka stanowi między nimi niewidzialną niemniej jednak silną przegrodę, która i dziś nawet utrudnia a w stosunkach dawniejszych wprost niemal uniemożliwiała nawiązanie między nimi bliższych związków. Fakt ten staje się tym bardziej zrozumiały, jeśli uprzytomnimy sobie, że język nie jest jakąś czysto zewnętrzną cechą człowieka, jakby suknią, którą można wdziać na siebie lub zrzucić, ale jest jednym z najważniejszych składników jego rozwoju duchowego i wiąże się bardzo ściśle z całą kulturą człowieka. Ludzie mówiący językami sobie bliskimi, łatwo zrozumiałymi, są bez wątpienia albo dziś jeszcze kulturalnie sobie bardzo blizcy albo

byli nimi w niedawnej stosunkowo przeszłości: wyrośli w każdym razie na wspólnym niegdyś podłożu kulturalnym. W tym znaczeniu mówimy nieraz o ludach kultury germańskiej, łacińskiej czy słowiańskiej, choć zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, jakie różnice kulturalne dzielą dziś między sobą Niemcy i ludy skandynawskie (Szwedów, Norwegów i Duńczyków), Francuzów i Włochów czy Hiszpanów, Polaków, Czechów i Rosjan itd. Im głębiej cofniemy się w przeszłość, tym wyraźniej wystąpi na jaw fakt, że bliskość językowa była wyrazem bliskich związków etniczno-kulturalnych.

Na tym tle zrozumiemy łatwo, że najdawniejsze organizacje państwowe powstawały przede wszystkim w obrębie plemion mówiących mniej więcej jednolitymi narzeczami a więc także — jak stąd można wnosić — i bardziej zwartych pod względem kulturalnym. Dopiero stopniowo w miarę wzrostu sił rozszerzały się one przez włączanie z początku plemion najbliższych pod względem językowym i kulturalnym a z czasem dopiero w drodze ekspansji o charakterze już wyraźnie imperialistycznym sięgały po władzę nad plemionami językowo i kulturalnie bardziej różnymi a nawet obcymi, przy czym jednak rzadko tylko władza taka okazywała się trwałą: działo się wtedy tylko, jeśli plemiona podbite były materialnie i kulturalnie słabe i łatwo ulegały asymilacji nie tylko politycznej ale i językowo-kulturalnej.

Procesy takie obserwować możemy w historii na każdym kroku. Tak powstawało w starożytności państwo rzymskie, którego jądrem było Latium i które stopniowo ogarniało najpierw najbliższe sobie pod względem językowym plemiona osko-umbryjskie i samnickie a z czasem objęło całą językowo pokrewną Italię, najdłużej walcząc z językowo i kulturalnie obcymi Etruskami oraz z Grekami, których kolonie były gęsto rozsiane na południowych kończynach półwyspu. Dalsza uniwersalna ekspansja Rzymu była już dziełem jego polityki imperialistycznej i trwalsze ślady zdołała pozostawić tam tylko, gdzie kultura i język rzymski głębsze zapuściły korzenie asymilując bardziej podatne i niżej kulturalnie stojące elementy etniczne zachodniej i środkowej Europy. W średniowieczu także te tylko państwa okazały się zdatnymi do życia, które opierały się o wyraźnie scharakteryzowany element etniczno-językowy i w rozwoju swoim nie przekraczały zbyt wcześnie bez należytej podbudowy kulturalnej ram zespołu plemion związanych ściślej węzłami pokrewieństwa językowego. Tak tworzyła się i rozwijała monarchia francuska i hiszpańska,

podczas gdy dawniejsze potężne państwo frankońskie Karolingów, oparte wyłącznie na pierwiastku dynastycznym, pozbawione jednolitej podbudowy etniczno-językowej okazało się tworem krótkotrwałym. Formowanie się państwa niemieckiego opierało się również przez długie wieki na skupianiu i scaleniu plemion blisko z sobą językowo spokrewnionych, przy czym zgodnie z układem tych pokrewieństw tworzyły się odrębne centra dynastyczne na południu, gdzie mówiono narzeczami górno-niemieckimi (z których wyrósł z czasem ogólno-niemiecki język kulturalny), a osobne na północy na obszarach tzw. saskich, mówiących bardzo odmiennymi gwarami dolno-niemieckimi. I potrzeba było — jak wiemy — kilku wieków walk i zmagań, aby wyrosłe na podłożu tych pierwotnych różnic kulturalno-językowych bariery polityczno-dynastyczne runęły ostatecznie pod naporem jednoczącej potęgi wspólnej kultury i wspólnego języka kulturalnego niemieckiego, dopuszczając do zupełnego zjednoczenia narodu i państwa niemieckiego. Dokonało się to dopiero w naszych oczach: a jak wielką rolę odegrała w tym jednocząca potęga języka niemieckiego, wiemy wszyscy.

Podobnie na gruncie słowiańskim najstarsze ośrodki państwowe tworzyły się w obrębie ściślejszych skupień plemienno-językowych i roszerzały się stopniowo, ogarniając przede wszystkim najbliżej z nimi takimi samymi węzłami związane obszary, rzadko tylko i przeważnie chwilowo przekraczając te naturalne ramy. Tak powstało i rozwinęło się w pocz. w. IX państwo wielko-morawskie, którego trzon stanowiły plemiona rozsiadłe po obu stronach rzeki Morawy a teren naturalnej ekspansji tworzyły obszary dzisiejszych wschodnich Czech i zachodniej Słowaczyzny, mówiące narzeczami bardzo bliskimi środkowo-morawskim. Nieco później, po zrujnowaniu tego państwa przez najazd madiarski, około ośrodka plemiennego nad średnią Wełtawą powstało państwo czeskie Przemyślidów, które objęło w krótkim czasie wszystkie językowo bardzo sobie bliskie plemiona kotliny czeskiej i z czasem także całe Morawy, stwarzając zdrowy i silny organizm państwowy, którego rozwój został jednakowoż wkrótce wypaczony przez fałszywą politykę dynastyczną popierającą nadmierne przenikanie wpływów obcych, niemieckich, podcinających zwolna siły żywotne państwa i narodu czeskiego. Na Rusi organizacja państwowa choć przeprowadzona przez obcy, najezdczy element normański pod egidą obcej pochodzeniem dynastii Rurykowiczów opierała się przecież na zespole związanym bliskimi węzłami pokrewieństwa językowo-etnicznego plemion nad

środkowym Dnieprem i stamtąd sięgnęła wraz z ekspansją tych plemion z jednej strony ku zachodowi nad Dniestr, z drugiej ku wschodowi i północy nad Don i ku Wołdze. Ogarnęła przy tym obszary, które rozmiarami swymi przekraczały widocznie zasoby sił kulturalnych głównego ośrodka, potrzebne do utrzymania jednolitego charakteru narodu i państwa, bo — jak wiemy — państwo to w krótkim stosunkowo czasie rozpadło się na kilka części i nigdy już nie powróciło do jedności, dając początek trzem narodowościom i językom ruskim: wielko-ruskiemu czyli rosyjskiemu, małoruskiemu, zwanemu dziś coraz częściej ukraińskim i białoruskiemu.

U naszych przodków, Słowian mówiących blisko z sobą spokrewnionymi narzeczami tzw. lechickimi, którzy siedzieli na szerokich równinach dorzecza Wisły i Odry a ku zachodowi sięgali aż poza dolną Łabę, istniało kilka ściślejszych grup plemienno-jezykowych, stanowiących łańcuch nie dających się bezwzględnie rozgraniczyć skupisk od Wiślan, Bużan i Mazowszan na wschodzie poprzez Ślęzan, Polan, Kujawian, wschodnich i zachodnich Pomorzan aż po Weletów, Obodrytów i Drzewian na zachodzie. Na ich podłożu występuje w ciągu IX i X w. kilka ośrodków organizacji państwowej, z których najdawniej w źródłach historycznych wspomniane jest państwo Wiślan na terenie dzisiejszej południowo-wschodniej Małopolski, którego książę wchodził w stosunki w drugiej połowie w. IX z państwem wielko-morawskim. Drugi, conajmniej temu współczesny choć w źródłach później notowany ośrodek powstał nad Wartą a jądro jego stanowiło plemię Polan rządzone przez książąt z rodu Piastowiców, którzy w krótkim stosunkowo czasie, bo w każdym razie już koło połowy w. IX, zdołali skupić pod swoją władzę najbliższe Polanom plemiona zaludniające późniejszą Wielkopolskę wraz z Kujawami, a wkrótce potem objęli swą władzą także Mazowsze oraz Śląsk i teren dawniejszego państwa Wiślan, które poprzednio już uległo zdaje się dezorganizacji pod naporem ekspansji wielko-morawskiej. Te dwa najdawniejsze ośrodki państwowe na obszarze polskim tworzyły się bez wątpienia w oparciu o bliższe związki pokrewieństwa plemienno-językowego łączące z jednej strony plemiona nad górną Wisłą a z drugiej mieszkańców dorzecza średniej i dolnej Warty; ślady takiego pierwotnego ugrupowania plemiennego zachowały się po dziś dzień w postaci dwu głównych grup gwar ludowych polskich: małopolskiej i wielkopolskiej. Związki językowo-plemiennego pokrewieństwa między tymi dwoma grupami a także sąsiadującymi z nimi Ślęzanami

i Mazowszanami były jednak tak bliskie, że pozwoliły stosunkowo bardzo wcześnie połączyć się im w jedną całość organizacyjno-państwową pod władzą wielkopolskich Piastowiców. Że ten właśnie moment pokrewieństwa plemienno-językowego odegrał w tym względzie bardzo ważną, może decydującą rolę, można wnioskować stąd, że podejmowane przez pierwszych Piastowiców próby opanowania dalszych dziedzin, luźniej już językowo z ich pierwotnymi dzierżawami związanych, nie przyniosły trwałych wyników: opanowanie Łużyc, Czech, Moraw i Słowaczyzny przez Bolesława Chrobrego miało tylko chwilowy charakter, tak samo wyprawy tegoż władcy na Ruś nie przyniosły szczególnych korzyści. Nawet opanowanie Pomorza, językowo o wiele Polsce bliższego od tamtych krajów, natrafiało na poważne trudności i udało się na stałe tylko w odniesieniu do Pomorza wschodniego tzw. gdańskiego (nad dolną Wisłą), które mówiło gwarami o wiele bliższymi polszczyźnie, kaszubskimi, podczas gdy Pomorze zachodnie, szczecińskie, mówiące gwarami bardziej różnymi, zbliżającymi się do gwar dalej jeszcze ku zachodowi siedzących plemion weleckich, rychło wymknęło się z pod władzy polskiej i podzieliło losy reszty plemion zachodnio-lechickich, wchłonięte zwolna przez organizację państwową niemiecką. Tak samo próby nawiązania łączności między Polską a związkami plemion weleckich i obodryckich, podejmowane nieraz za pierwszych Piastów, spełzły na niczym, mimo że tylko w oparciu o Polskę mogły one mieć nadzieję skutecznej obrony przed wspólnym niebezpieczeństwem niemieckim. Brakło tu — można przypuszczać — tego najważniejszego elementu wzajemnej spoistości, jaki stanowiła w owych czasach w stopniu o wiele wyższym niż dzisiaj bezpośrednia łączność plemienno-językowa. Tak więc język okazał się w tej epoce formowania się naszego państwa elementem skupiającym — jak się dziś mówi — państwotwórczym o pierwszorzędnym znaczeniu. Rolę tę zachował on przez cały ciąg naszych dziejów aż po dziś dzień. Ze względu na wielką jej doniosłość dla naszego życia narodowego i państwowego warto tu rozpatrzyć po krótce najważniejsze etapy jej rozwoju.

Po ugruntowaniu zrębów państwowości polskiej pod potężnymi rządami dwu wielkich Piastowiców, Mieszka I i Bolesława Chrobrego równolegle do stapiania się w całość poszczególnych dziedzin plemiennych, które weszły w skład ich państwa, poczęła się stopniowo zmieniać struktura społeczna ludności polskiej, co musiało wpłynąć także na różniczkowanie społeczne języka. Dotychczas bowiem, tak jak ludność Polski choć

z różnych plemion złożona, przedstawiała społecznie właściwie jedną tylko warstwę: ludu rolniczego, tak i język znał tylko różnice gwarowe związane z rozmaitości dawnych plemion Wiślan, Ślęzan, Polan, Mazowszan itd., ale nie znał różnic zależnych od przedziałów społecznych między warstwą ludową a warstwami wyższymi. Obecnie około domu książęcego i związanych z nim drużyn rycerskich, których członkom w nagrodę zasług wojennych nadawali władcy ziemie w różnych stronach rozległego państwa, poczęła się wytwarzać nowa, do pewnego stopnia uprzywilejowana warstwa społeczna, będąca zawiązkiem późniejszego stanu szlacheckiego, warstwa nie mająca już charakteru dzielnicowego, ale ogólno-państwowy, polski w pełnym tego słowa znaczeniu. Musiało to pociągnąć za sobą naturalnym biegiem rzeczy zmiany w stosunkach językowych. Jak każda wyodrębniająca się grupa społeczna, tak i formująca się warstwa wyższa w Polsce musiała zwolna wyodrębnić się pod względem sposobu mówienia od ogółu ludności, od którego wyróżniała się trybem życia, zajęciami rycerskimi a nawet do pewnego stopnia pochodzeniem. Lud zachował w poszczególnych dzielnicach państwa różnice gwarowe zależne od dawnych różnic plemiennych — ślady ich trwają do dzisiaj w zróżnicowaniu gwarowym polszczyzny ludowej — a wśród warstw wyższych począł się wytwarzać zawiązek ogólno-polskiego języka kulturalnego. Charakter tego języka, składniki z jakich powstał, zależały oczywiście z natury rzeczy od elementów, które złożyły się na budowę pierwszych kadr tej nowej warstwy dającej mu początek. Wiemy już, że opierała się ona głównie na drużynach rycerskich, skupiających się koło książąt i stanowiących podstawę ich władzy. Drużyny te rekrutowały się nie tylko spośród Polaków ale zawierały też sporo elementu obcego, napływającego pod chorągwie władców z krajów sąsiednich, z Czech, Niemiec a nawet ze Skandynawii, ponieważ jednak przeważał w nich — rzecz prosta — żywioł rodzimy, pochodzący z plemienia Polan, które było rodowym plemieniem dynastii piastowskiej, wszystkie te różnorodne składniki polszcząc się przejmowały gwarę polańską jako swój język codzienny. Tym sposobem gwara ta, odpowiadająca dzisiejszemu narzeczu środkowej Wielkopolski, stała się podstawą najdawniejszej mowy potocznej polskich warstw wyższych a z czasem w oparciu o dynastię, o najstarsze rody rycerskie, osadzane przez władców w różnych dzielnicach państwa, oraz o Kościół, którego pierwsze ośrodki organizacyjne leżały także w Wielkopolsce (pierwsze biskupstwo w Poznaniu, metropolia w Gnieźnie)

rozwinęła się w ogólnopolski język kulturalny. Widomym śladem tego bardzo w skutkach doniosłego procesu społeczno-językowego jest fakt, że w budowie gramatycznej języka polskich warstw wykształconych ugruntowały się na stałe i tkwią po dziś dzień główne cechy głosowe właściwe narzeczu wielkopolskiemu jak wymowa spółgłosek *cz, ż, sz,* specyficzne brzmienie samogłosek nosowych *ę* i *ą* itp. Proces ten w swych zasadniczych zrębach musiał się odbyć stosunkowo szybko: w każdym razie narzecze wielkopolskie już na przełomie w. X—XI miało widocznie wyrobione stanowisko języka kulturalnego, skoro nie zachwiał go w tym przewrót, jaki nastąpił po upadku Mieszka Bolesławica i spowodował w połowie w. XI przesunięcie głównego ośrodka życia państwowego i, co za tym idzie — kulturalnego z Wielkopolski do Małopolski, do Krakowa. Mimo tego przesunięcia i utraty przez Wielkopolskę na stałe przodującego stanowiska w życiu państwowym w budowie gramatycznej języka kulturalnego nie zaszły żadne zasadnicze zmiany; nie dostała się do niego żadna z charakterystycznych cech gwarowych małopolskich, ani tzw. mazurzenie (tj. wymawianie *c*., *z, s* zamiast *cz, ż, sz)* ani małopolska wymowa nosówek, ani przejście końcowego *-ch* w *-k* itp. Tak wczesne u s t a l e n i e s i ę z a s a d n i c z e g o t y p u j ę z y k a k u l t u r a l n e g o, mimo że był on wówczas jeszcze tylko mową potoczną warstw wyższych, bo w piśmiennictwie panowała długo wszechwładna łacina — musiało być bez wątpienia f a k t e m n i e z m i e r n e j d o n i o s ł o ś c i d l a w y r o b i e n i a p o c z u c i a j e d n o ś c i n a r o d o w e j i ł ą c z n o ś c i m i ę d z y p o s z c z e g ó l n y m i d z i e l n i c a m i p a ń s t w a piastowskiego. Poczucie to pozwoliło Polsce przebyć bez większego uszczerbku smutny, blisko dwuwiekowy okres rozluźnienia jedności państwowej w dobie podziałów dzielnicowych zapoczątkowanych testamentem Bolesława Krzywoustego z r. 1138. Nie można wątpić, że wspólny język warstw wyższych był w tym czasie na równi z jednolitą organizacją Kościoła, z którą zresztą ściśle się wiązał, jednym z głównych czynników jednoczących, które nie dopuściły do zatraty poczucia łączności międzydzielnicowej i ocaliły grunt pod odbudowę jedności państwowej, dokonanej rękoma Władysława Łokietka a wykończonej i utrwalonej dzięki talentowi organizacyjnemu syna jego Kazimierza Wielkiego. Na ten okres czasu, na drugą połowę w. XIII i w. XIV przypada zresztą w rozwoju polskiego języka kulturalnego ważna zmiana, która choć na pozór tylko zewnętrzna, przyczyniła się wybitnie do utrwalenia jego struk-

tury i podniesienia jego znaczenia w życiu narodu: język ten zaczyna być zwolna używany nie tylko ustnie, w codziennym życiu warstw wyższych, ale także w piśmie; zaczęto układać w nim i spisywać najpierw modlitwy, psalmy i inne teksty treści religijnej a z czasem także zapiski sądowe i nawet utwory poetyckie o charakterze świeckim. Były to wątłe zrazu początki rodzimego naszego piśmiennictwa, które rozwijając się z czasem coraz bujniej doprowadziło do przetworzenia języka potocznego warstwy wykształconej w język — w pełnym tego słowa znaczeniu — literacki, zdolny stać się sprawnym narzędziem twórczości umysłowej prawdziwie kulturalnego narodu.

Zanim jednak nasz język kulturalny zdołał wejść w pełni w rolę języka literackiego, musiał on w ciągu w. XIV i XV stoczyć *ciężką walkę o stanowisko swoje na ważnym bardzo odcinku życia społecznego a mianowicie w miastach.* Wiadomo, że od połowy w. XIII miasta polskie, przed tym zresztą bardzo słabo rozwinięte zaczęły się zapełniać ludnością napływową obcego, niemieckiego pochodzenia. Kolonizacja ta była w dobrze zrozumiałych gospodarczych celach popierana usilnie przez książąt i możnych panów i rozwijała się tak bujnie, że w krótkim czasie miasta polskie, szczególnie większe — ale i drobniejsze a nawet po części i wsi — zaroiły się od kolonistów niemieckich, którzy obdarowani przywilejami handlowymi doszli szybko do znacznej zamożności, a rządząc się własnymi prawami pod ochroną nadawanych im przy osadzaniu przywilejów, zaczęli tworzyć jakby państwo w państwie, nie zawsze nawet odnosząc się lojalnie do książąt panujących. Na tym tle poczęły już w wieku XIV powstawać z nimi zatargi potęgowane jeszcze rywalizacją, jaka wytwarzała się między nimi a napływającą do miast ludnością polską, której władze miejskie czyniły trudności w osiedlaniu się i zatrudnieniu. Zatargi te zmieniły się wkrótce w tarcia o charakterze wyraźnie narodowym, w których sprawa uprawnienia językowego odgrywała coraz większą rolę. Spierano się o prawa języka polskiego w kościołach miejskich: w nabożeństwach publicznych, kazaniach czy spowiedzi, we władzach i sądach miejskich itd. Spory te przybierały niekiedy drastyczne formy, przeradzając się w zamieszki i walki uliczne, które zmuszały książąt do czynnej interwencji. Ostatecznie przecież doprowadziły one do zupełnego równouprawnienia polszczyzny w życiu mieszczańskim i utorowały przez to drogę do stopniowego spolszczenia miast, co w ciągu w. XVI stało się już faktem dokonanym. Prócz tego starcia te wywarły *bardzo doniosły wpływ na psy-*

chikę ludności, przyczyniły się bowiem w sposób decycydujący do rozbudzenia polskiej świadomości narodowej w pełnym tego słowa znaczeniu, która w czasach dawniejszych nie znających walk narodowych, istniała tylko w zarodku. Od tego też czasu język polski, który odegrał w tych sporach miejskich tak wybitną rolę, stał się jednym z głównych składników poczucia narodowego i zdobył sobie na zawsze dominujące miejsce w zespole cech narodowych polskich. Odtąd też, trzeba przypuszczać, datuje się w narodzie naszym miłość do języka ojczystego, która w najcięższych okresach naszych dziejów była stale najpewniejszą ostoją ducha narodowego.

Miłość ta przejawia się wcześnie, choć z początku nieśmiało, już w w. XVI w formie reakcji przeciw wszechwładnie dotąd w piśmiennictwie panującej łacinie: wybitni pisarze jak Biernat z Lublina, Marcin Bielski czy Mikołaj Rej nie tylko zaczynają pisać swe dzieła po polsku, ale wyrzekają jawnie na niedbalstwo i brak miłości do mowy ojczystej u Polaków, przemawiając do ich ambicji, aby nie pozostawali w tyle za innymi narodami w kształceniu i pielęgnowaniu własnego języka w piśmiennictwie. Na tle tego budzącego się przywiązania do języka ojczystego rozwija się w ciągu w. XVI, w okresie tzw. złotego wieku naszego piśmiennictwa coraz żywsza troska o doskonalenie i bogacenie języka literackiego, która przebija się we wspaniałym jego rozkwicie pod piórem takich twórców jak Jan Kochanowski, Stanisław Orzechowski, Łukasz Górnicki czy ks. Piotr Skarga.

Równocześnie rozszerza się coraz bardziej rozprzestrzenienie naszego języka: Po unii z Litwą przyłączenie ogromnych a słabo zaludnionych obszarów wschodnich do Rzeczypospolitej otwarło licznym rzeszom ludności polskiej drogę ku wschodowi. Wielotysięczna kolonizacja polska na ziemiach wschodnich niosła tam z sobą język polski, który stanowił najważniejszy łącznik podtrzymujący związek osadników z ziemiami rdzennymi. Równolegle z tym polszczące się liczne zastępy szlachty ruskiej przejmowały również język polski, oczywiście w postaci mowy warstw wykształconych, nadając mu wskutek właściwych sobie ruskich przyzwyczajeń językowych pewien swoisty odcień w wymowie a po części też w słownictwie, który znamy po dziś dzień jako polszczyznę tzw. kresową. Tym sposobem język właśnie stał się jednym z najsilniejszych węzłów, jakie związały ziemie wschodnie Rzeczypospolitej na stałe z Polską i jej kulturą i przysporzyły Ojczyźnie naszej wielu wybitnych mężów,

wodzów, polityków, poetów i uczonych, którzy wyszli z szeregów tamtejszej szlachty i ludu tamtejszego.

W ciągu w. XVII i pierwszej połowy w. XVIII wraz z nadwątleniem sił politycznych Polski, podkopanych klęskami wojennymi i politycznymi, oraz ze związanym z tym obniżeniem oświaty i kultury literackiej, podupadł też stopniowo i poziom kultury językowej: język literacki tracił na giętkości i prostocie, ulegał przy tym coraz większemu zanieczyszczeniu naleciałościami obcymi, przede wszystkim łacińskimi, później też francuskimi i innymi. Zanikało też zainteresowanie losami języka i malało zamiłowanie do pisania i poprawnego mówienia po polsku. Wszystko to musiało wpływać ujemnie na siłę odporną języka, co ujawniło się w tym, że w tym czasie język polski począł ponosić także straty co do swego rozprzestrzenienia: na kresach wschodnich coraz większa ilość ludu polskiego zaczęła zapominać swego języka i przejmować język otaczającej ruskiej ludności. Tak samo działo się na zachodzie: pozostałe poza granicami Polski ziemie mówiące po polsku: Śląsk, Prusy tzw. Książęce (dziś Prusy Wschodnie), pograniczne powiaty Pomorza (które nie weszły w skład tzw. Prus Królewskich) długo stosunkowo zachowywały w pełni polszczyznę w ustach ludu prostego — szlachta przeważnie uległa tam wcześniej zniemczeniu. Obecnie wobec upadku siły ekspansywnej naszego państwa i obniżenia poziomu naszej kultury intelektualnej germanizacja w tych krajach poczęła czynić zastraszające postępy, tak że niewiele stosunkowo z nich udało się na przyszłość ocalić dla Ojczyzny. Odrodzenie języka literackiego i podniesienie jego sprawności i kultury, które nastąpiło w drugiej połowie w. XVIII w związku z ogólnym podniesieniem oświaty i kultury w dobie panowania Stanisława Augusta, niewiele już mogło pomóc w tym względzie. zwłaszcza że rozkwit ten był krótkotrwały i rychło uległ załamaniu pod ciosami klęsk politycznych, które przyniosły upadek niepodległej Rzeczypospolitej.

Ale kapitał kultury językowej zebrany w okresie Stanisławowskim przyniósł obfity plon w pierwszej połowie w. XIX. kiedy tylko choć częściowo na rozdartych ziemiach Polski wytworzyły się warunki pracy nad rodzimą kulturą. Po utracie niezawisłości państwowej wzmogła się bardzo troska o język ojczysty, w którym widziano słusznie najważniejsze ogniwo łączące w jedną całość rozerwane politycznie dzielnice Polski. Język począł grać teraz znowu rolę podobną jak w średniowieczu w dobie władania piastowskich książąt dzielnicowych. Była ona

teraz z jednej strony łatwiejsza, bo istniała już potężna ogólnopolska kultura umysłowa i bogate piśmiennictwo, z drugiej zaś trudniejsza, bo na język poczęły spadać ciosy prześladowań ze strony rządów zaborczych. Najpierw rozpoczęły się one w zaborze austriackim, ale koło połowy w. XIX zaczęto ograniczać prawa języka polskiego w rozmaitym stopniu także w innych zaborach, gdy przeciwnie w Galicji ucisk językowy ustał z chwilą wprowadzenia autonomii szkolnej i politycznej. Wszelkie prześladowania nie wyrządziły jednak językowi spodziewanych przez zaborców szkód, przeciwnie wprost zwiększyły w znacznym stopniu jego znaczenie w narodzie, pogłębiając przywiązanie do mówionego i pisanego słowa polskiego, które stało się s y m b o l e m p o l s k o ś c i. W wysokim stopniu przyczynił się do tego wspaniały rozwój literatury w ciągu w. XIX. Zwłaszcza tworzona przeważnie na emigracji po powstaniu 1831 świetna poezja romantyczna dodała językowi nieznanego dawniej uroku i blasku, stwarzając zeń nie tylko doskonałe narzędzie twórczości ale także przedmiot głębokiego umiłowania dla wszystkich Polaków. Język stał się teraz nieodłącznym i bodaj najwybitniejszym składnikiem świadomości narodowej, jednoczącym w całość wszystkich Polaków nie tylko zamieszkałych na ziemiach dawnego państwa, pokrajanych zaborczymi kordonami, ale także rozproszonych na emigracji, wywołanej politycznymi czy gospodarczymi powodami, po ziemiach obcych, Francji, Niemczech, Rosji czy Ameryce. Wzmagająca się prężność kulturalna polska, przebijająca się w coraz świetniejszym w ciągu w. XIX rozwoju literatury pięknej, nauki i sztuki polskiej, mimo niemocy politycznej narodu skrępowanego więzami zaborczymi, zachowała urok nie tylko dla swoich ale także dla obcojęzycznej choć bardzo nam bliskiej pochodzeniem i kulturą l u d n o ś c i r u s k i e j dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej; przez cały ciąg porozbiorowych dziejów Polski język nasz zyskiwał ciągle na terenie rozszerzając swoje dzierżawy ku wschodowi. Działo się to przy tym — rzecz charakterystyczna — nie tyle w zaborze austriackim, gdzie Polacy w dobie autonomicznej odzyskali przewagę w rządach krajowych Galicji, ale przede wszystkim na obszarze dawnego W. Księstwa Litewskiego, gdzie w ciągu w. XIX wytworzyła się zwarta i wcale o b s z e r n a w y s p a j ę z y k o w a p o l s k a w o k o l i c a c h W i l n a, które do końca istnienia niepodległej Polski mówiły po białorusku. Także w innych częściach tzw. Krajów zabranych, na Podolu, Wołyniu i Ukrainie polskość trzymała się doskonale i rozwijała się mimo ucisku prawidłowo aż do

katastrofy wywołanej powojennym przewrotem politycznym, który większość tych ziem oddał pod panowanie rosyjskiego bolszewizmu.

Ten sam urok kultury polskiej, którego najlepszym tłumaczem był i jest zawsze język polski, począł mniej więcej od połowy w. XIX coraz silniej oddziaływać także na zachodzie na ziemie, mówiące po polsku, jakie nieszczęsnym zbiegiem okoliczności od wieków — jeszcze przed rozbiorami — pozostawały poza politycznymi granicami Polski. Pierwsze miejsce zajmował wśród nich Śląsk, odwieczna piastowska dziedzina, która od XIV w., niewłączona do zjednoczonej Polski Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego, przez cztery z górą wieki żyła pod obcymi, czeskimi, austriackimi czy pruskimi rządami. Zachowała ona jednak polskość *in potentia,* w kulturze ludowej, w obyczaju i przede wszystkim w języku; wystarczyło to, aby dzięki usilnej pracy swych wiernych synów i oddziaływaniu kulturalnym innych dzielnic w dobie największego ucisku polskości rozbudziło się tu poczucie narodowe i zapłonął gorący patriotyzm, który pozwolił ziemi tej, niestety nie w całości powrócić pod skrzydła odrodzonej Ojczyzny. Nie ulega wątpliwości, że język odegrał w tym uświadomieniu narodowym rolę pierwszorzędną: on stanowił pomost, bez którego odbudowanie łączności Śląska z Polską byłoby niemożliwe. Niestety dla znacznej części ziemi śląskiej prądy odrodzenia narodowego nadeszły za późno: cały Śląsk średni, wrocławski, który jeszcze w XVII i w XVIII w. pamiętał o polskości, zapomniawszy zwolna języka utracił możność powrotu do jedności z narodem. To samo grozi dziś i innym częściom Śląska, które pozostały pod niemieckimi rządami i niemal zupełnie pozbawione są możności nauki i pielęgnowania języka ojczystego. Nielepiej dzieje się i w innych stronach: na Warmii, na Mazurach pruskich i na skrawkach polskiego Pomorza, pozostałych w granicach Rzeszy Niemieckiej; wszędzie tam język polski jest ograniczany w prawach i usuwany z nauki szkolnej i życia publicznego. Liczne mniejszości polskie osiadłe od wieków w Litwie Kowieńskiej i w Łotwie bronią także z wysiłkiem swego języka i swych praw narodowych. Mnogie rzesze emigrantów polskich w Ameryce, we Francji, czy Belgii mają wprawdzie w zasadzie swobodę uczenia się po polsku i pielęgnowania swego języka, ale rzadko tylko starczą im po temu zasoby materialne i warunki życiowe, toteż polskość ich potrzebuje troskliwej opieki ze strony kraju ojczystego, jeśli nie ma wygasnąć w następnych pokoleniach. Najzagorzalszą walkę w obronie języka i kultury polskiej toczono do niedaw-

na na tej ziemi, na której w tej chwili stoimy. Walka ta i jej zwycięski wynik powinien napełnić otuchą serca wszystkich Polaków, którzy muszą wierzyć w gwiazdę swego narodu i muszą pamiętać, że gdziekolwiek rozbrzmiewa słowo polskie, tam żyje polskość, bo język polski jest najpotężniejszym węzłem i dźwignią jedności narodu i państwa!

Tadeusz Lehr-Spławiński.

Od Palackiego do Hachy

Gdy po raz trzeci w ciągu roku zdradliwy los rzucił pod nogi Adolfa Hitlera swe dary, kanclerz nie zawahał się — i dary przyjął.

Po Austrii, Sudetach przyszła kolej na Czechy. I stoi nadal w Złotej Pradze pomnik na Vaclavskem Námesti. Siedzi z rozwartą księgą dziejów na kolanach, wpatrzony w dal, ze spiżu wykuty, „ojciec narodu czeskiego". Franciszek Palacky ongiś wskazał drogi rozwoju swemu ludowi. Następcy Palackiego odeszli od jego wskazań i poszli swymi drogami. Atoli rok 1939 przekreślił ich dzieło.

Prezydent Hacha oddał dobrowolnie po długim namyśle — wierzymy mu — Czechy w ręce kanclerza Rzeszy. Hacha wątpił od początku w słuszność rozwiązania Masaryka i Benesza. Więc w cóż wierzyć musiał? Jako Czech musiał wierzyć w reprezentanta przeciwnej ideologii, Palackiego. Palacky bał się zjednoczonych Niemiec. Zjednoczone Niemcy — to największe niebezpieczeństwo dla Czech. I dlatego Palacky głosił, że jeżeliby nie było Austrii trzebaby było ją stworzyć dla ochrony Słowian, zbyt słabych, by walczyć ze zjednoczonymi Niemcami. W Austrii, półniemieckiej, półsłowiańskiej przyszłość Czechów była pewniejsza, niż w razie uzyskania niepodległości. Masaryk i Benesz poszli drogą inną, kompromisową: stworzyli Czechosłowację z Rusią, liczyli na Moskwę, ale Austrię chcieli odseparować od Rzeszy. Z chwilą upadku Austrii los Czech został rozstrzygnięty.

Naród czeski nie miał sił do walki. Nie chodzi o siły materialne, bo kilka dni oporu zmobilizowałoby cały świat przeciw zaborcom i spowodowałby klęskę Rzeszy po dłu-

giej, wyczerpującej wojnie. Ale Czechom zabrakło i w jesieni 1938, i w marcu 1939 sił moralnych do walki. Wojna dziś wymaga, jak się okazuje, nie tylko przygotowań materialnych, nie tylko organizacji i przemyślenia szczegółów. Wymaga heroicznego życia w czasie pokoju. I powiedzmy: tego heroizmu nie zdołał wychować liberalizm czeski. Heroizm w czasie pokoju, życie niebezpieczne, wciąż pełne narażenia, życie w ciągłym napięciu sumienia i woli może wychować tylko głęboko przeżyty katolicyzm. Tylko katolicyzm bowiem stawia młodzieńcowi wymóg olbrzymi, zda się nieosiągalny — walki o swą wartość moralną i czystość. Mniejsza o to, czy ta walka jest zawsze zwycięska w każdej chwili: chodzi o to, że jest nieustanna, że zwycięstwa nie daje nigdy zupełnego, że się wciąż odnawia — i zmusza do heroizmu. I to jest najgłębszy sens społeczny katolickiej nauki moralnej. Zarazem najmniej rozumiany w epoce liberalizmu.

Czesi byli liberałami w etyce i w życiu. I wyrósł z nich naród tchórzliwy, skłonny do płaszczenia się i zuchwałości. Dwa wieki snu po bitwie pod Białą Górą uczyniły wiele, ale nie wystarczą, by tłumaczyć brak charakteru: Czesi się przecie oparli i wytrwali. Ale odrodzenie narodowe czeskie nie poszło po linii katolicyzmu — przeciwnie, było z ducha liberalne — z nazwy husyckie. Mimo, że w masach trwał katolicyzm, przywódcy z nim zrywali, zrywała z nim ludność miejska dziś w życiu narodu grająca rolę decydującą. Po odzyskaniu niepodlegości nic się nie zmieniło: szkoła czeska przez dwadzieścia lat niepodległości nie umiała wychować żołnierza - obywatela. Masoneria uwiła sobie gniazdko w Czechach i paraliżowała wszelką działalność religijną, jeśli była ona związana z kościołem katolickim. Wyobrażano sobie, że tradycja walk husyckich wystarczy. Ale zapominano, że husyci żyli w średniowieczu, że byli sami wychowani w surowej etyce katolicyzmu, od którego później się oderwali. Natomiast husytyzm XX w. był tylko liberalizmem religijnym i moralnym. I dlatego Czechy nie znalazły w sobie siły do walki zbrojnej jesienią 1938 r. Nie zdobyły się nawet na spisek wojskowy, nawet na opór po-

jedyńczych pułków. Gen. Syrovy płakał przez radio, czytając rozkaz odwrotu. To zabiło naród czeski. Czesi nie przelali krwi w obronie swych granic, nie mają bohaterów z r. 1938 poza paru żandarmami i celnikami. Wiosną 1938 r. tylko parę oddziałów we Frydku i Mistku walczyło przeciw najeźdźcom. I to daje nadzieję, że coś się z narodu czeskiego może uratować. Bo z kości bohaterów powstają mściciele, ale z kości podłych — tylko podli. Czesi nie umieli żyć po bohatersku — czy potrafią wychować w duchu heroizmu swych synów?

Hacha rozumiał tchórzostwo swego narodu. Polacy ulegli rozbiorowi, ale każdy z nich był poprzedzony zbrojną walką o niepodległość. Konfederacja barska wybuchła przed pierwszym rozbiorem, wojna o konstytucję majową — przed trzecim. A Czesi nie znali pojęcia bohaterstwa — nawet w służbie obcej. I dlatego Hacha uznał za tragiczną pomyłkę dążenie do niepodległości. Stanisław August był może podobny w swych losoch do Hachy. Ale słaby, ostatni król, który nie spoczął i nie spocznie nigdy w grobach królewskich, przynajmniej protestował. Hacha sam oddał Czechy w ręce niemieckie, przekreślił ich samodzielną przyszłość. I tragizm narodu czeskiego jest większy, niż tragizm upadku Polski.

Naród czeski uległ przemocy niemieckiej. Zamiast wegetacji w cieniu Rzeszy, zamiast codziennych upokorzeń Hacha wybrał rozpaczliwą decyzję. Czy znalazła w jego kroku wyraz narodowa cecha charakteru, przerzucanie się od zuchwalstwa do rozpaczy? Książęta czescy walczyli długo przeciw Niemcom. Brzetysław chciał po upadku Mieszka II przyłączyć Polskę do Czech i stworzyć jedno wielkie państwo słowiańskie. Uległ bez walki przed potęgą cesarza Konrada I. Później królowie czescy byli wierni Rzeszy — aż się zniemczyli. Coprawda, ile razy wybuchła wojna domowa w Niemczech, Czesi brali w niej udział i szli rabować i pustoszyć wrogów. Mówią kronikarze, że nie wyruszali nigdy, jeśli nie mieli pozwolenia na swobodne plądrowanie kraju przeciwników. Tkwił w tym swoisty, czeski walenrodyzm. Później naród się odrodził za Husa i Żyżki, wal-

czył zaciekle o swój byt, zuchwale pustoszył Niemcy. Aż począł ulegać znowu germanizacji w epoce reformacji. Biała Góra zamknęła ten proces. Dzielność, jak mówi stary Arystoteles, leży w środku, między nadmiarem a niedostatkiem. Czesi znają zuchwalstwo i rozpacz: nie znają męstwa stojącego w środku.

Czy decyzja Hachy była podyktowana rozpaczą czy aktem zimnej, rozsądnej kalkulacji. Hacha jest uczonym i myślicielem, Hacha długo medytował przed relikwiami św. Wacława, gdy wszedł jako prezydent w mury hradczańskie. Jakże to dawno!

Z chwilą decyzji Hachy i zgody kanclerza Hitlera narodowy socjalizm przestał być ruchem nacjonalistycznym, zaprzeczył głoszonej przez siebie zasadzie, że nie pragnie cudzej ziemi. Konsekwencje czynów idą zwolna za czynami, myśl nierychło podąża za rzeczywistością. Ale fakt stał się faktem: od walki o państwo, jednoczące wszystkich Niemców i tylko Niemców, przeszła Rzesza do walki o panowanie nad światem. Narodowy socjalizm, tworząc ruch analogiczny w Czechach, przestał być kierunkiem narodowym, przybrał wyraźnie cechy międzynarodowe. Obok międzynarodówki socjalistycznej, opartej na micie materii powstała inna międzynarodówka, oparta na micie rasy. Partie „Krzyża ze Strzał" na Węgrzech, „Żelaznej Gwardii" w Rumunii, nar. socjalistów w Holandii, może Rexa w Belgii — to części tej nowej międzynarodówki. W Polsce kandyduje do niej bodaj mała, ale ruchliwa grupa „Zadrugi", jedyna grupa polska, która dostała się wyraźnie pod wpływ nar. socjalizmu. Są tedy dwa internacjonalizmy. I dziwnym wydaje się wniosek, że nacjonalizm jest czymś pośrednim i umiarkowanym, czymś, co stoi między dwiema skrajnościami, komunizmem i rasizmem. I dalszy wniosek, że jedynym sposobem utrzymania tego środka jest oparcie się nacjonalizmu o chrześcijaństwo.

Nacjonalizm jest dziś zagrożony przez hipnozę materializmu, przez hipnozę pozornej potęgi, jaką daje mit krwi i rasy. I przerażeni potęgą cyfr ludzie patrzą w potęgę Niemiec, jak ptak wpatruje się w węża, który go chce połknąć.

I wreszcie sam skacze do jego paszczy. Jest tu potężna hipnoza, hipnoza równie silna, jak bolszewicka z przed lat niewielu. Tylko, że tą właśnie hipnozą jest pełna, ufna, potężna w swej mocy wiara w Boga. Tylko ta wiara, oparta o moc Kościoła katolickiego potrafi zapobiec fascynacji, otrzeźwić tych, którzy już jej gotowi ulec. Tam, gdzie to sumienie jest żywe — hipnozy nigdy nie będzie. Będzie trzeźwy sąd o rzeczywistości — która jest inna, niż się wydaje.

W chwilach wielkich i trudnych człowiek — i naród — wracają do swych pierwszych decyzji. Tam, gdzie zda się stoimy na rozdrożu, gdzie tylko my sami mamy wydać decyzję o mglistej przyszłości — tam wracamy zawsze do pierwszych decyzji. I pierwsza decyzja Polski była nie za potęgą imperium germańskiego Ottonów lecz Rzymem. Rzym był wtedy słaby, jakże słaby i uzależniony od cesarstwa. Nie mógł być narazie żadną osłoną. Ale Mieszko I miał snać ogrom wiary — i wybrał pozornie słabszy Rzym i niepodległość. Decyzję tę przekazał dalszym pokoleniom budowniczy Polski. I załamało się cesarstwo, zda się niezwyciężone, Ottonów i Henryków u wrót Canossy. Mieszko, ten półpoganin, wybrał ducha przeciw materii. Decyzję tę przekazał on Polsce wiecznej i do niej wracał naród Polski w wielkich chwilach przełomu wracał sam, nie przynaglany, z powrotem w głąb swego sumienia. I zawsze, skoro wrócił — zwyciężał. Warto przypomnieć, co pisał przedwojenny hakatysta, Dietrich Schäfer, wybitny historyk Hanzy, w przedmowie do zbiorowego dzieła „Die deutsche Ostmark" (Lissa 1913, str. 62) — w chwili, gdy nikt w Niemczech nie przypuszczał nawet, że Wielkopolska i Pomorze będą utracone, Schäfer, mówiąc o nieubłaganej walce Niemców z Polakami, mówił: „Można ubolewać nad tym stanem rzeczy, ale Niemiec nie może go zmienić. Kto wierzy, że ich (Polaków) można poprawić przez „kulturę", zapoznaje stosunki, zapoznaje w ogóle rozwój dziejowy. „Kultura", o którą tu chodzi w wielkim rozwoju dziejowym, znaduje się obecnie raczej u naszych przeciwników, niż u nas. Ma ona swe korzenie w wierze we własne ideały, w oddaniu się im. Reli-

gia i miłość ojczyzny są najwyższemi i najpotężniejszymi czynnikami, które ożywiają społeczności. Przez naukę i sztukę albo nawet przez formy życia codziennego nie dadzą się one zastąpić, tak samo nie zastąpi ich myśl o „ludzkości“. Schäfer powiedział najgłębszą prawdę o zmaganiach polsko-niemieckich. W jego osobie historyk spełnił misję nauczyciela życia — i śmierci ludów. Nic ująć, nic dodać do tego nie można.

Karol Górski.

Sprawy Wołyńskie

Otrzymaliśmy — dla celów publikacji w „Awangardzie“ — referat opracowany przez p. Michała Mickiewicza, członka Powiatowego Związku Szlachty Zagrodowej w Kostopolu, przedyskutowany na posiedzeniach Związku. (Red.).

Ażeby móc mówić o tym jakimi drogami mamy pójść, by jaknajprędzej osiągnąć cel w zakreślonej sobie pracy polonizacyjnej na Wołyniu, musimy najpierw starannie zanalizować dzisiejszy stan narodowościowy Wołynia, oraz sposób jak to do tego stanu Wołyń doszedł, a następnie wyraźnie i zdecydowanie określić nasz cel i osiągnięcia do których za wszelką cenę dojść będziemy chcieli. Już przy powierzchownych nawet obserwacjach bezstronny badacz zagadnień ludnościowych spostrzeże, że ludność Wołynia dzieli się na pewne grupy regionalne jak wołyniacy południowi o odmiennych zwyczajach o innym zabarwieniu języka o innym w ogólnej masie usposobieniu i nastawieniu do Państwa Polskiego. Jest to ta część ludności wołyńskiej, która o wiele bardziej i gruntowniej dzięki niehamowanej propagandzie ukraińskiej została zukrainizowana.

Druga grupa ludnościowa to wołyniacy północni, o wyraźnym podobieństwie do poleskiego regionu. Ludność ta narodowo przeważnie jest nieokreślona, określa się przeważnie jako „tutejsza“ łatwo podlega ruchowi asymilacyjnemu i polonizacyjnemu.

Grupa południowa, ta więcej zukrainizowana, obejmuje powiaty: Zdołbunowski, Rówieński, Dubieński, Krzemieniecki oraz południowe części powiatów Łuckiego i Włodzimierskiego. Zamieszkuje ona lepsze i żyzniejsze gleby, jest więc zamożniejsza a przy tym gęsto skupioną. Na niektórych terenach jak wskazuje Mały Rocznik Statystyczny zaludnienie w tej części Wołynia przekracza 100 ludzi na 1 km², co przy wybitnie rolniczym charakterze tych powiatów stanowi już maksymalne nasycenie i dalsze zaludnienie musi spowodować emigrację.

Grupa północna obejmuje powiaty Sarneński, Kostopolski, Kowelski, Lubomelski, oraz północne części powiatu Łuckiego i Włodzimierskiego zamieszkując teren lesisty, o glebie piaszczystej, podmokłej, nasyconej wielką ilością bagien, krzaków i różnych nieużytków. Ludność ta jest bardzo ubogą o czym świadczy to, że w dużej ilości zagród prze-

dnówek zaczyna się już zaraz po Bożym Narodzeniu, a koło Wielkanocy w przeważającej liczbie gospodarstw są już pustki w komorze i stodole. Gęstość zaludnienia jest tu przeważnie nie wielka i wacha się od 30 do 45 ludzi na 1 km^2. Praca polonizacyjna na tym terenie jest łatwiejsza.

Tak w jednym jak i w drugim regionie grupy ludnościowe są w większej lub mniejszej mierze pewną mieszaniną polskich osadników i ludności tutejszej. Osadnicy polscy osiedlali się tu już od XIV wieku, jednakże proces kolonizowania Wołynia przez element polski wzmógł się ogromnie na sile dopiero w wieku XVII, gdy przybyła tu w bardzo dużej ilości drobna szlachta osiedlając się przeważnie na mocno jeszcze pustych terenach Wołynia i tworząc (wiek XVIII) gęstą sieć zaścianków szlacheckich.

W okresie niewoli zaborca, który zaraz po upadku Konfederacji Barskiej rozpoczął planowe rutenizowane zabranych ziem polskich zmienił zasadniczo oblicze Wołynia. Jako środki prowadzące do zrutenizowania Wołynia posłużyły: 1. wywożenie bardziej patriotycznie nastawionej szlachty w głąb Rosji, 2. masowe deklasowanie szlachty z jednoczesnym pognębieniem materialnym, 3. zmuszanie wszelkiemi sposobami do przechodzenia na prawosławie, 4. wprowadzenie wyłącznie szkolnictwa rosyjskiego, 5. systematyczne nasilanie Wołynia elementem rdzennie rosyjskim itd.

Tak planowo i systematycznie prowadzona akcja rusyfikacyjna na przestrzeni przeszło 120 lat, dała w efekcie to, że gdy część Wołynia po odzyskaniu Niepodległości wróciła do Polski, świadomych Polaków mieliśmy już tylko niespełna 17%a w 68% była to ludność „tutejsza", która składała się w dużym procencie z elementu polskiego, który już zupełnie został zrutenizowany, sporego odsetka elementu polskiego również zrutenizowanego, który jednakże o swym polskim pochodzeniu pamiętał, ale tak samo jak i grupa pierwsza był wyznania prawosławnego i z mową ojczystą zerwał, oraz z elementu „tutejszego" pochodzenia autochtonicznego, który na przestrzeni historii absolutnie żadnej odrębności narodowościowej nie wykazał. Poza tym dzięki zbiegowi okoliczności na Wołyniu polskim znalazła się również nie wielka grupka elementu ukraińskiego, który przywędrował na Wołyń przeważnie z nad Dniepru po przegranej z bolszewikami a który odegrał i odgrywa ogromnie szkodliwą rolę w pracy polonizacyjnej Wołynia. Pod względem narodowościowym Wołyń w roku 1920 miał oblicze raczej żadne i był pewną niewiadomą, którą po uprzednim sumiennym zbadaniu naukowym i historycznym należało rozwiązać według z góry opracowanego planu w duchu polonizacyjnym.

W nawale pracy przy organizowaniu Państwa na zagadnienie ludnościowe Ziem Wschodnich nie zwrócono większej uwagi, stosując przy rozwiązaniu tego zagadnienia, metodę najgorszą, bo dorywczości i eksperymentowania. Nie zrobiono nic by w świetle historii przedstawić szerokim masom społeczeństwa polskiego to zagadnienie, omówić je

i oświetlić z punktu widzenia racji stanu narodu polskiego, i planowo dążyć do rozwiązania. Dziś po 20-stu latach niepodległości zagadnienie to jest ciągle otwarte. Środki i drogi wiodące do rozwiązania tego zagadnienia nie mogą wydawać się nikomu za duże, gdyż chodzi tu o największe dobro: o pozyskanie straconych dusz polskich. Nie może być więc takich sum, ciężarów i przeciwności które byłyby w stanie rozwiązanie zagadnienia rewindykacji polskości ziem wschodnich odsunąć na plan dalszy lub zepchnąć je wyłącznie na barki miejscowego społeczeństwa polskiego. Zagadnienie to jest zagadnieniem ogólnopaństwowym i Państwo w rozwiązywaniu go, musi wziąć udział wydatny i przodujący. Sprawa spolszczenia Wołynia to nietylko sprawa Polaków zamieszkujących Wołyń ale to sprawa tycząca się w równej mierze Sejmu, Rządu i całego społeczeństwa polskiego a więc wszystkich czynników odpowiedzialnych za wielkość i przyszłe losy Polski.

Jeżeli więc przejdziemy do stanu narodowościowego jaki dziś znajduje się na Wołyniu, to musimy sobie wyraźnie w świetle cyfr oficjalnych statystyk powiedzieć, że eksperyment Józefskiego, który trwał z górą lat 10 zmienił to oblicze jeszcze bardziej na niekorzyść polskości. Bo gdy przy obejmowaniu Wołynia przez Polskę w roku 1920 mieliśmy wprawdzie tylko 17% Polaków ale zato reszta ludności była to ludność tutejsza, bez żadnej wyraźnej przynależności do jakiegokolwiek narodu, dziś mamy według spisu ludności na rok 1931 też tylko 16,7% Polaków, ale zato według tej statystyki 68% Ukraińców. Liczba Ukraińców jest jaskrawym wynikiem błędnej polityki Józefskiego, który nie tylko pozwolił ale poparł ukrainizację cerkwi prawosławnej i następnie całą ludność prawosławną uznał za Ukraińców. W świetle więc statystyki (Mały Rocznik) procent Ukraińców na Wołyniu jest bardzo wysoki, w rzeczywistości jednakże, jeżeli uświadomimy sobie, że przecież nie każdy prawosławny jest Ukraińcem, że mamy dużą liczbę wynarodowionych Polaków, którzy jeszcze dzisiaj są prawosławnymi, to przekonamy się, że liczba 68% Ukraińców na Wołyniu nie odpowiada prawdzie. Po bliższym i wnikliwszym zbadaniu stosunków narodowościowych na Wołyniu w oparciu o wyniki badań ksiąg metrykalnych, archiwów parafialnych, dokumentów szlacheckich i ustnej tradycji okaże się, że w cyfrze 68% podanej dla ludności ukraińskiej, kryje się 12 do 17% nieuświadomionych Polaków, 30 do 40 ludności tak zwanej tutejszej, która absolutnie nie wyraża odrębności narodowościowej, a reszta dopiero będzie to element wprawdzie też nie ukraiński, bo Ukrainy na Wołyniu nigdy nie było, ale zorientowanej przez propagandę w kierunku filoukraińskim i ruskim.

Z powyżej przedstawionego stanu narodowościowego na Wołyniu wynikają jasno cele i zadania stojące przed państwem i narodem polskim: 1. z cyfry 68% Ukraińców musi odpaść w najbliższym spisie ludności ludność polska zrutenizowana (17%) i „tutejsza" (30 do 40%) na rzecz polskiego stanu posiadania.

2. 30 do 40% ludności tzn. „tutejszej", która absolutnie nie wyraża

odrębności narodowej musi być już od zaraz poddana systematycznej i planowej polonizacji.

3. Ażeby powyżej zakreślone cele mogły być wprowadzone w życie, należy jaknajszybciej ukrócić propagandę i rozwój doktryny ukraińskiej na Wołyniu.

Powyżej zakreślone cele i zadania są jasne i nie wymagają dalszego oświetlania. Przy rozważaniu planu działania w pracy polonizacyjnej na Wołyniu musimy jako pewnik niezbity historycznie przyjąć, że żaden ruch wielki, masowy nie odbył się na przestrzeni historii bez nacisku i wkładu materialnego, oraz oddziaływania jednej grupy społecznej na drugą. Warunkami sprzyjającymi w naszej pracy jest to, że działamy w ramach własnego państwa, że możemy liczyć na zwarte poparcie całego narodu polskiego, oraz i to, że teren Wołynia jest ogromnie zaniedbany gospodarczo. Podnosząc więc na szeroką skalę i z rozmachem rozwój gospodarczy Wołynia stwarzać będziemy atrakcję polskości i warunki sprzyjające polonizacji zaniedbanych mas „tutejszej" ludności.

Cały aparat pracujący nad podniesieniem potencjału gospodarczego Wołynia musi być nastawiony na akcję polonizacyjną. Przy tym musi to być nie tylko dobry urzędnik, dobry inżynier, dobry adwokat czy lekarz ale muszą to być przede wszystkim ludzie o pełnym zrozumieniu sprawy polskiej i o wysokim poziomie moralnym.

Struktura Wołynia tak pod względem gospodarczym, administracyjnym jak i ludnościowym w porównaniu z innymi województwami o takim samym charakterze rolniczym, stoi dalego niżej od poziomu potrzeb polskich i wymaga szybkiego i zdecydowanego działania. Dokładniej zilustruje to poniższa tabelka.

Nazwa województwa	Obszar w km^2	Ogólna liczba mieszkańców	% ludności		Liczba powiatów
			miejskiej	wiejskiej	
Wołyń . . .	35 700	2 085 000	13	87	11
Tarnopol . .	16 000	1 600 000	18	82	17
Poznań . . .	26 000	2 106 000	40	60	31

Z tabeli wynika, że jedynie zdrową strukturę posiada województwo poznańskie, jeżeli zaś chodzi o Wołyń to nieodparcie nasuwa się wniosek konieczności zwiększenia liczby powiatów i wydatnego podniesienia ludności miejskiej .

Nazwa województwa	% Polaków	Ukraińcy w tym			W miastach stanowią %					
		Z-rut. Polacy	Tutejsi	Ukraińcy	Polacy	Żydzi	Ukraińcy	Rusini	Niemcy	Inni
Wołyń . .	16,7	12—17%	30—40%	10--15%	27	48	16	—	—	9
Tarnopol	49,3	—	Rus. 20%	25%	58	20	10	9	—	3
Poznań .	90,0	Niemców 9%			94	—	—	—	5	1

Z tabelki tej wynika, że należy przede wszystkim dążyć do podniesienia w ogóle odsetka Polaków na Wołyniu, a w szczególności w miastach przez zastąpienie nadmiernej liczby Żydów w miastach wołyńskich, elementem rdzennie polskim.

Wołyń, który posiada największy obszar z trzech wyżej wymienionych województw posiada najmniejszą liczbę powiatów, musi więc być ze względów na pracę polonizacyjną podzielony na mniejsze jednostki administracyjne. Wielkie powiaty chociaż może są uzasadnione ze względów opłacalności to jednak nie wytrzymują krytyki jeżeli chodzi o wyższe racje stanu Polski jak polonizacja Wołynia. Małe powiaty pozwolą na większe nasilenie Wołynia rdzennym elementem polskim i to przede wszystkim inteligencją, która odpowiednio nastawiona wpłynąć powinna ogromnie dodatnio na asymilację tutejszej ludności, oraz pozwoli na szybsze i lepsze eliminowanie z Wołynia jednostek destrukcyjnych ukraińsko-komunistycznych.

Wołyń więc winien być podzielony na conajmniej 23 lub 25 powiatów a nie jak dotychczas 11. Nowymi siedzibami powiatów winny zostać:

1. Rokitno (Sarny.
2. Berezne (Kostopol).
3. Międzyrzec Korzecki (Równo).
4. Buderaż (Zdołbunowski).
5. Wiśniowiec (Krzemieniec).
6. Beresteczko (Horochów).
7. Ołyka (Łuck).
8. Kołki (Łuck).
9. Włodzimierzec (Sarny).
10. Kisielin (Horochów).
11. Rożyszcze (Łuck) lub Hołoby (Kowel).
12. Ratno (Kowel).
13. Maciejów (Kowal).

i ewentualnie 14. Radziwiłów (Dubno).

Łącznie z obecnie istniejącymi powiatami będziemy mieli 25 pow. Jeżeli chodzi o ludność miejską, gdzie prawie połowę ludności stanowią Żydzi, zajmujący się w 100% handlem a przy tym posiadający prawie wszystkie domy i objekty handlowe przy ulicach handlowych miasta, musi nastąpić szybkie i wydatne poprawienie tej wadliwej struktury. Żydzi w miastach jak to się dało już zaobserwować chętniej wydzierżawiają swe objekty Ukraińcom pod przedsiębiorstwa handlowe, niż Polakom. Przy tym zupełnie świadomie pracują na tutejszym terenie nad utrzymaniem ciągłego zaognienia pomiędzy tutejszą ludnością a Polakami.

To też należy ustawowo usunąć część Żydów z Wołynia, a szczególnie tych, którzy uzyskali obywatelstwo polskie po roku 1920. Na miejsce usuwanych Żydów z miast wołyńskich należy sprowadzić kupców polskich. Ażeby podnieść odsetek ludności miejskiej, który jest bar-

dzo mały (13%) należy dążyć do tworzenia nowych miast według z góry opracowanego planu. Powstawanie nowych miast musi być uzgodnione z planem rozbudowy gospodarczej Wołynia.

Przemysł na Wołyniu musi powstać jaknajprędzej i odegrać rolę ważniejszą niż samo uaktywnienie gospodarcze Wołynia, bo umożliwienie zdobycia go dla polskości. Toteż musi być on całkowicie w rękach polskich. Łącznie z budową fabryk muszą być budowane domy robotnicze dla osiedlania robotników, z centrum Polski; pierwszeństwo przy zatrudnieniu muszą mieć Polacy o licznych rodzinach.

Dla uzupełnienia tej akcji winna być przeprowadzona parcelacja większej własności z myślą podniesienia procentu polskości na Wołyniu. Nie wolno więc ani 1 ha ziemi oddać w ręce nie polskie, przy tym zasadą winno być, że ziemię na Wołyniu z parcelacji może nabywać tylko Polak posiadający liczną rodzinę a mianowicie od 5-ciu członków w zwyż. Zważywszy, że Wołyń jest województwem przygranicznym, większe objekty rolne jako magazyny zbożowe większej roli nie będą mogły odegrać, natomiast osadzenie na tej ziemi osadników Polaków wzmoże wydatnie obronność przygranicza. Toteż cały zapas ziemi na Wołyniu — 244.977 ha (Mały Rocznik) — należy rozparcelować na dziesięciohektarowe gospodarstwa co przy zasadzie, że ziemię mogą nabywać tylko rodziny liczne, da możność wprowadzenia na Wołyń około 130.000 Polaków.

Równocześnie z rozbudową przemysłu musi być realizowany szeroki plan inwestycyjny na Wołyniu. Palącą tu jest sprawa połączenia wołyńskich miast i miasteczek gęstą siecią dróg żelaznych i bitych; da to również możność podniesienia procentu Polaków na Wołyniu przez zatrudnienie większej liczby robotników z centrum.

Koniecznie należy przystąpić do regulacji i kanalizacji rzek wołyńskich oraz połączenia ich kanałem poprzecznym.

Dla zfinansowania tej akcji należy stworzyć specjalny Bank Wołyński, który by postawił sobie za cel popieranie polskości na każdym kroku.

Nie stanowi to już całości rozwiązania zagadnienia polskości Wołynia; w realizacji zakreślonego planu mogą się nasunąć te czy inne trudności, nie mniej jednakże nie może być takich trudności dla rozwoju sprawy polskiej na Wołyniu, które byłyby w stanie ją zahamować lub zwichnąć, ewentualnie zepchnąć na inne tory.

Wołyń jak był polskim przed rozbiorami, tak musi wkrótce stać się i teraz.

Po zgonie śp. pułk. Walerego Sławka

Grupa Awangardy, jak wiadomo, nawiązała w roku 1933 kontakt z śp. pułkownikiem Walerym Sławkiem jako z bezpośrednim wykonawcą polityki wewnętrznej Józefa Piłsudskiego. Podstawą kontaktu była sprawa aktualnego wówczas uchwalenia nowej konstytucji. Posłowie grupy Awangardy (Ruchu Narodowo-Państwowego), zgodnie zresztą ze swymi wielokrotnie uzasadnianymi poglądami, oddali swe głosy na rzecz nowej konstytucji, realizującej zasady państwa silnego. Z tego okresu, tak dla nas przełomowego, zachowujemy pamięć o Walerym Sławku, jako o człowieku bezwzględnie oddanym sprawie, której służył ofiarnie, szlachetnie, bezinteresownie, z rycerskim poczuciem spełnianego obowiązku. Biła od Niego czystość intencyj i wysoki styl moralny, który niepomiernie ułatwił nam przeprowadzenie naszej trudnej i podówczas niezrozumiałej jeszcze dla wielu akcji. Były to czasy, kiedy tak powszechnie uznawane dziś hasła jedności narodowej, które wówczas rzuciliśmy, wywołały ironię, sarkazmy, nieufność i fale zapalczywej nienawiści.

Dla nas wszakże uchwalenie konstytucji, której zasady znajdują tu zawsze zdecydowaną obronę, było tylko doniosłym etapem ku dalszej organizacji narodu, na zasadzie jedności, jednolitej idei i jednolicie kierowanej woli. Toteż, gdy powstał Obóz Zjednoczenia Narodowego, zmierzający do realizacji tych własne założeń, zgłosiliśmy do niego akces, pracując odtąd w jego ramach. Pułkownik Walery Sławek pozostał, jak wiadomo, poza Obozem. Nie badamy przyczyn Jego stanowiska, które nie mogło mieć wpływu na nasze decyzje, ale pamięć tego wielkiego i szlachetnego bojownika o niepodległość żyć będzie wśród nas. Oddajemy Jej hołd i cześć głęboką.

GŁOSY

U TRUMNY WALEREGO SŁAWKA

Pod tym tytułem czytamy w „Jutrze Polski“ nrze 16 z 1939 r.

Pułkownik Walery Sławek nie żyje!

Odeszła w zaświaty jedna z najwybitniejszych postaci pokolenia legionowo-żołnierskiego, jeden z najbliższych towarzyszy Wielkiego Marszałka — najpierw w walce o niepodległość narodu, a potem w walce o moc i siłę odrodzonego Państwa. Walery Sławek, nieugięty bojownik i spiskowiec, szef Organizacji Bojowej, więzień wielokrotny wszystkich trzech zaborców, legionista, żołnierz i przyjaciel Marszałka, pułkownik Wojsk Polskich, trzykrotny premier, współtwórca Konstytucji Kwietniowej, czołowa, przodująca przez szereg lat, postać naszego życia politycznego — rozstał się z tym światem.

Nie nam sądzić i dociekać, co spowodowało tragiczną decyzję, co stało się przyczyną odejścia płk. Sławka na wieczny odpoczynek, którego nikt i nic nie jest już zdolne Mu zakłócić.

Dla nas młodych — niezależnie od tego, że drogi Zmarłego rozeszły się w ostatnim czasie z tym kierunkiem marszu, który wskazał Wódz Naczelny — Walery Sławek jest i pozostanie jedną z najpiękniejszych postaci odradzającego się do niepodległego bytu Narodu, jedną z najpiękniejszych postaci wielkiej epoki Piłsudskiego.

Człowiek olbrzymich zasług, charakter nieugięty, bezinteresowny i szlachetny, rycerz nieustraszony, nieskąpiący Polsce swej krwi i poświęcenia, duch czysty i ofiarny — oto Walery Sławek, jakiego będą znały przyszłe pokolenia.

U trumny nieugiętego bojownika chylimy czoła.

KILKA WNIOSKÓW.

Pod tym tytułem czytamy w „Jutrze Polski“ w nrze 16 z 1939 r. w artykule Z. Wojciechowskiego:

Teraźniejszość nie zawsze wpływa na trafną ocenę hierarchii zagadnień. Gdy treścią jej są sprawy małej wagi, codzienne, wyrastać one mogą do znaczenia problemów. Ludzie wybiegający trochę dalej

wzrokiem i wnioskowaniem, widzący istotną hierarchię zagadnień, odgrywają przeważnie rolę przysłowionych proroków na pustyni. Polska to są wkłady trwałe w jej historię; gdy brak miernika teraźniejszość trzeba zwracać się po pouczenia do owej niezrównanej „magistra vitae".

Dziś teraźniejszość jest najkapitalniejszą „magistra vitae". To co przeżywamy w ostatnich tygodniach w dobroczynny sposób przywraca hierarchię zagadnień w życiu polskim. Z tego wyłonić się musi jeszcze jedno następstwo najważniejszej natury: koncentracja energii przy realizowaniu problemów uznanych przez moment próby historycznej za najdonioślejsze.

Więc nauka pierwsza: Wracają czasy, w których znamieniem nie będzie konsumowanie zdobyczy osiągniętych wysiłkiem przodków, lecz elementarna obrona egzystencji i zabezpieczanie jej warunków. W takich epokach dochodzić musi do głównego głosu czynnik rycerski w narodach. Żyjemy w czasach, w których jakby powracały warunki pierwiastkowego formowania się państw. W czasach zaś tych nierozłącznym było kierownictwo spraw państwowych od kierownictwa siłą zbrojną. Gdy istotą zagadnień państwowych staje się elementarna obrona państwa — czynnik kierujący tą obroną stawać się musi ośrodkiem najszerzej pojętej dyspozycji, jednoczyć wysiłek społeczeństwa i państwa.

Jeszcze kwartał temu mogły pojawiać się głosy, że hasło politycznego organizowania się przy armii jest jakimś nowym „chwytem" politycznym. Rzeczywistość pozwoliła stwierdzić, że niektórzy ludzie umieli patrzeć trochę dalej. Nie to jednak stanowi dla nich istotną satysfakcję: będzie nią powszechne wysnucie wniosków z tej prawdy oczywistej.

* *
*

W sytuacjach, jak obecna, największym złem jest marnowanie energii narodowej. Pod tym względem mamy sobie w Polsce bardzo wiele do zarzucenia. Przez lat dwadzieścia tolerujemy takie stany, w których ogromne sumy energii marnuje się przez wzajemne neutralizowanie. W prasie periodycznej (por. artykuł w jednym z ostatnich numerów „Prosto z Mostu") trafnie zauważono, że neutralizując energię narodową w walkach wewnętrznych nie mamy jej do dyspozycji zarówno, gdy chodzi o ekspanję żywiołu polskiego w granicach państwa, jak też i poza jego granicami. Bylibyśmy dziś pod oboma względami o wiele dalej, gdyby były do dyspozycji zmarnowane ogromne ilości energii narodowej. Stąd jeszcze jedna nauka na przyszłość.

* *
*

Ciśnienie wychodzące od dużych Niemiec sprawia, że Polska szybko scala się wewnętrznie. Tak było przed długimi i dawnymi wiekami. Jeżeli Polska żyła w jedności wewnętrznej przez wieki X, XI i XII to bynajmniej nie dlatego, że lepszy był podówczas jej ustrój wewnętrzny — bo zasady ustrojowe były te same w wieku XIII, co w XI i XII, lecz z tej racji, że zdrowy instynkt państwowy i narodowy, ujawniony w działaniach panujących, nie dopuszczał do rozbicia państwa w czasie w którym miałoby ono najgorsze skutki. Czasy takie powracają dzisiaj. Zjednoczenie dzisiejsze to powszechne zjednoczenie narodowe. Narodowym Niemcom przeciwstawić się musi Polska o bardzo wyraźnym obliczu narodowym. Jeżeli zaś mogły być i były pewne dyskusje na temat roli żywiołu polskiego w odnowionym państwie, to nikną one dzisiaj. Dziś rola ta jest konsekwencją obowiązków i odpowiedzialności ciążącej właśnie na żywiole polskim, a nie na anonimowo pojętym obywatelu. W świetle błyskawic wykuwa się nowe oblicze wiecznej Polski.

* *
*

Przodkowie nasi nie wybrali sobie na siedziby bezpiecznego kąta w Europie. Dodajmy na ich obronę, że w chwili, gdy zakładali państwo, granice jego były bardziej naturalne od tych, które dziś posiadamy. Dziś chronią nas stoki Karpat. W wieku X-tym mieliśmy ponadto naturalne oparcie o brzeg Bałtyku od Szczecina po Gdańsk i naturalną granicę nad Odrą. Potomność poczyniła w tej dziedzinie wiele zaniedbań. Różne drogi prowadzić mogą do ich nadrobienia.

Jedną z nich jest troska o Polaka wkorzenionego w ziemię, związanego z terenem. W Polsce zachodniej, jak również północno zachodniej, dominować musi typ Polaka związanego z ziemią przez drobną lub średnią posiadłość ziemską, czy przez inny warsztat o charakterze produkcyjnym. Niemcy i Polska nie mogą się gospodarczo dopełniać: z tego oczywiście wniosek, że stoi przed nami zadanie dalszego uprzemysławiania i urbanizacji ziem polskich. Niemniej jednak trzonem musi pozostać rolnik drobny (zdolny jednak do kapitalizacji) i średni. Pod tym kątem widzenia wyzyskać będziemy musieli w niedługim czasie do końca tytuły, jakie nam daje zarówno ustawa o reformie rolnej, jak i o pasie granicznym.

* *
*

Jesteśmy narodem, który musi stać pod bronią, który nie może sobie pozwolić na luksus wewnętrznych walk politycznych. *Naród taki wymaga ustroju autorytatywnego, ale zarazem ustroju któryby dla pokrycia kosztów rządzenia nie pochłaniał znacznych części dochodu społecznego.* Ideałem naszym musi być państwo rządzone dobrze, przy stosunkowo małym aparacie biuro-

kratycznym. Rządzenie dobre i sprawne, rządy zarazem powszechnie uznane, to jedna z dróg pozwalających na przerzucenie wydatków państwowych na cele najbardziej w danej sytuacji potrzebne.

* *
*

Wspomnieliśmy wyżej o zatracie naszej granicy naturalnej na zachodzie i północnym zachodzie. Nie wolno jednak stwarzać wiary w jakiś automatyzm praw geograficzno-politycznych. Działają one bezlitośnie, ale tylko wówczas, gdy działają pod naciskiem jednej siły. Tak było w naszej przeszłości na odcinku stosunków polsko-pruskich. Prusy weszły najpierw na linię Odry, by później dążyć do opanowania dorzecza Wisły. Ale szły bez oporu. Nie było w Polsce w wieku XVIII woli oporu, woli suwerennej egzystencji.

Pod tym względem naród nasz się przemienił. Nawrócił na szlak piastowskiej myśli o całkowitej suwerenności, odnalazł swój stosunek do armii i do skarbu. W ten sposób znalazł się w posiadaniu narzędzi, które decydują o rozwoju dziejowym. Tylko też one działają i działać mogą determinująco na bieg dziejów. Wszystko inne im się podporządkować musi.

Słabiutką była Polska Łokietka. Ale w czasach Kazimierza Wielkiego ambasador jego mówił do kanclerza cesarza Karola IV wyśmiewając tytuł cesarza „rzymskiego": „Nasz król — mówił — dzierży berło i miecz dane mu przez Boga, a prawa swe i wzięte od przodków tradycje przenosi ponad prawa cesarskie".

ECHA „BIBLIOTEKI AWANGARDY".

„Polska Zbrojna" w nrze z dnia 11 kwietnia br. w artykule pt. „Pełnia racji ideowej podstawą zjednoczenia" pomieszcza wiadomość o t. XII „Biblioteki Awangardy" wydanym pod tym tytułem. — „Polska Zbrojna" streszcza tok myśli pierwszego rozdziału tej książki pt. „Naród i państwo jako zagadnienie Polski", a następnie podaje kilka cytatów zarówno z tego artykułu, jak i następnych. Zacytowano ustępy o roli polskiej grupy narodowej jako czynnika asymilującego, o ciągłości czynnika władzy w Polsce i o kulcie woli jako jedynej drodze wiodącej Polskę w jej warunkach ku należnej jej przyszłości.

Z ODDZIAŁU POZNAŃSKO-POMORSKIEGO KLUBU 11 LISTOPADA

W wyniku Walnego Zebrania Oddziału w dniu 25 marca b. r., oraz konstytuującego zebrania Zarządu w dniu tym, w skład Zarządu Oddziału weszli pp.: prof. Wojciechowski jako prezes, dyr. Wojtkowski jako I wiceprezes, red. Drobnik jako II wiceprezes, dr Zdzitowiecki jako p. o. II wiceprezesa, mg. Marian Pukacki jako skarbnik, J. Rychlewski jako gospodarz, E. Makowiecki jako sekretarz, dyr Mocarski jako kierownik prac Pododdziału w Toruniu i dr W. Górny jako organizator Pododdziału Morskiego.

Do Sądu Klubowego wybrani zostali pp.: gen. Knoll Kownacki jako przewodniczący, oraz dr Znaniecki, dyr. Krasoń, mg. Dankowski i inż. Paul jako członkowie.

Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali pp.: dyr. Bocheński jako przewodniczący, kust. Kaletka i dr Jaroszewski jako członkowie, oraz mg. Szyszczyński i p. St. Tarnowski jako zastępcy.

Delegatami na Zjazd Delegatów na czas kadencji Zarządu wybrani zostali pp.: Z. Dembiński, dr Zdzitowiecki, dyr. Mocarski i dr W. Górny. Zastępcami pp.: dr Jaroszewski, mg. Marian Pukacki, St. Tarnowski i mg. W. Jaroszewski.

PRENUMERATA: roczna zł 5.—, półroczna zł 2,50. Cena tego numeru zł 1,00
OGŁOSZENIA: cała str. zł 100.—, 1/2 str. 60.—, 1/4 str. zł 35.—, 1/8 str. zł 20—
Adres Redakcji i Administracji: Poznań ul. Spokojna 10. II, m. 15.

Wydawca: Bogusz Elbanowski, Poznań; Redaktor: Zygmunt Wojciechowski, Poznań.
Czcionkami Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego pod zarządem Józefa Winiewicza.